

# Jan Parandowski

## EROS NA OLIMPIE

Pamięci Alfreda Altenberga

Kiedy przed niespełna dwoma laty opracowywałem „Mitologią” dla użytku młodzieży (co prawda, przeczytali ją przede wszystkim tzw. dorośli), z żalem widziałem, jak z mojego warsztatu odpada wiele materiału, niezwykle ciekawego, który należało pominąć w imię wyższych wskazań pedagogicznych. Gdy mi się więc cknęło podczas kastrowania mitów greckich, brałem tę lub ową bajkę i rozsnawałem ją dla własnej przyjemności w opowiadanie, pełne starych obrazów i nowych zmyśleń. Tak powstawały te błahe historyjki, układane kapryśnie na marginesie moich ulubionych autorów starożytnych, aż z nich złożyła się książka, która, jak sędzę, będzie miłą lekturą dla wydziedziczonych u nas człowieka dorosłego.

Z bogami i bohaterami Grecji przyjaźnię się od bardzo dawna. Mam wrażenie, że znam ich dość dobrze i że bez rażących omyłek potrafię odtworzyć zawiłe ich dzieje. Ale wiedza, którą rozporządzam, nie jest wiedzą uczonego. Głęboko szanuję cierpliwych pracowników, którzy zbierali i objaśniali mity greckie, lecz szacunku dla nich nie posuwam aż tak daleko, by pójść ich śladem. Z ciekawością przeglądam ich dzieła uczone, ale wystrzegam się brać od nich naukowe wyjaśnienia mitów. Nie mówię nigdzie, że historia Pazyfae zawiera ślady pierwotnego kultu byka, ani że Atena była przedtem sową. Nie śledzę biegu legendy greckiej z globusem astralnym pod ręką i nie poniżam podziwu godnych osobistości mitologii greckiej przypomnieniem prostackich obrzędów agrarnych. Salomon Reinach, który wdarł się na Olimp, otoczony Buszmenami i Botokudami, napelnia mnie zgrozą.

Nie, nie jestem uczone. Jeżeli zachodzę czasem do tych katakumb wiedzy, jakimi są wielkie biblioteki, to jedynie po to, aby z tym większą radością oddychać później świeżym powietrzem swobodnej i niefrasobliwej fantazji. Mitologia wydaje mi się rozkosznym ogrodem, po którym trzeba chodzić stopą cichą i delikatną. Wolę radować się wonią rosnących tam kwiatów, niż za cenę oberwanych płatków poznawać tajemnicę ich budowy. Okazuję w ten sposób oplakaną powierzchowność umysłu, nad którą niewątpliwie boleć będą ludzie poważni.

Ale to nie tylko wina przyrodzonej mej lekkomyślności, lecz i moich mistrzów. Nauczycielami moimi byli nie teologowie ani historycy religii, tylko poeci, i od nich przejąłem beztroski system dosłownego brania tych bajek, bez zagłębiania się w zawsze możliwy sens ukryty. Nie byłem wtajemniczony w żadne misteria i nie obowiązuje mnie mistyczne pojmowanie miłostek Dzeusa. Przywykłem patrzeć na tego sułtana jako na istotę wyłącznie oddaną poszukiwaniom rozkoszy i wraz z H. Kitzlerem, getyngeskim magistrem sztuk wyzwolonych, skłonny jestem przypuszczać, że „według królewsko-hanowerskiego prawa karnego Dzeus zasłużył sto razy na więzienie, jeżeli nie na stryczek”. Co jednak nie przeszkadza mi kochać go i podziwiać w tym wyobrażeniu, jakie sobie o nim urobiłem.

Poza iantastycznością, która ich otacza, bogowie mol nie mają w sobie nic boskiego. Sądzę, że w tej mierze postępuję zgodnie z 'pojęciami Greków i w myśl ich doskonałego antropomorfizmu. Ci bogowie odczuwają radość, głód, smutek, pożądanie i cierpienie, są zazdrośni, popędliwi, zawistni, podstępni, zdradliwi, wiarołomni, wzruszają się łatwo, czasem zapominają krzywd doznanych, czasem pamiętają je zaciekle, zupełnie jak ludzie, a niekiedy nieśmiertelność -- jedyna rzecz odróżniająca ich od ludzi -- może stać się dla nich ciężarem, jak stała się dla mądrego centaury Chejrona, który w swej niedoli sam o śmierć prosił.

Ktoś w chwili niezadowolenia mógłby nazwać tę książkę złą, rozumiejąc przez to, że jest niegodziwa, przewrotna, nieprzystojna. Postąpiłby jednak nierozumnie. Nie ma złych książek, prócz tych, które są źle napisane. Natomiast bywają złe chwile, w których najlepsza książka wyda się najgorszą i sprowadzić może następstwa wręcz oplakane. Zresztą nie udawajmy przed Grekami świętoszków. Nie podniosłoby to nas w ich oczach. Książkę swoją pisałem z prostotą pojęć Greka i chcę, aby ją tak samo czytano. Nie wolno oceniać Greków 'według tych pojęć moralnych, jakie wytworzyliśmy przez wiele wieków myślowego chaosu. Gdyby oni znali naszą obłudę, powiedzieliby, że nie mylili się w swojej opinii, nazywając barbarzyńcami wszystko to, co mieszka poza błogosławieństwem greckiego słońca. Albowiem Herodot powiada: „U Lidów, jako też u wszystkich prawie barbarzyńców, nawet mężczyzna wstydzi się pokazywać nago”. Wierzyli, że nie ma nic bardziej pięknego nad ciało ludzkie, i bliscy byli mniemania, że miłość jest najświętszą rzeczą na świecie. Nigdy nie łączyli spraw miłości z poję

ciem bezwstydu. A gdyby nawet komuś podobało się tak uczynić, znaleźliby odpowiedź w przysłowiu. THEOS HE ANAIDEIA -- i Bezwstyd jest bóstwem. Tak, i temu bóstwu w Atenach postawiono kapliczkę...  
J. P.

## EROS NA OLIMPIE

Na najwyższym szczycie Olimpu, skąd "wszechwładny majestat Dzeusa spogląda na rozłożoną przed nim tarczę ziemi-- zasiadł Eros. Pod złotym tronem Chmurozbiórcy wiją się płomienne pioruny z głuchym pomrukiem gromów. Czysty eter liliową poświatą obejmuje niżej stojące pałace bogów. Przez dwa otwory skalne, którymi idą do uszu Dzeusa modlitwy i przysięgi śmiertelnych, widać ziemię z jej górami, okrytymi kożuszkami lasów, dolinami, porzniętymi w kręte zygzaki rzek niebieskich, i fiołkową glorią greckiego morza. Nieobeszłe królestwo Erosa.

Bardziej jego niż Dzeusa, albowiem z woli Erosa pan nieba i ziemi porzucił dziś, jak tyle razy przedtem, tron złoty, aby w dziwnym jakimś przebraniu szukać miłości tam, daleko, wśród tych nierównych czworoboków pól, pachnących macierzanką. Pychą okrutną nadyma się Eros. Bo oto widzi, że moc jego sięga dalej niżli moc Dzeusa. I nad Olimpem panuje, i nad ziemią zboże rodzącą, i wszystko, co w głębi wód żyje, nieśmiertelnym rytmem miłości wyznaje jego chwałę, a i tam, dokąd straszno spojrzeć nawet oczom bogów, w podziemiu, uwielbiona jest jego słodka potęga. I tak było od początku czasów: w rozelśnieniach pierwszego świtu drżała wilgotna iskra jego spojrzenia i w szmerze pierwszych strumieni dzwonił jego śmiech uroczy.

Kielich kwiatu, otwierając się wabnie na przyjęcie srebrnej kropli rosy, objawia niewypowiedzianą tęsknotę swym wonnym westchnieniem, które wiatr polny powtarza młodym listkom drzewa, ukrywającego pod ciemną korą białe ciało Hamadriady. Ku chwale Erosa podnoszą ptaki pieśń ranną, a zwierzęta leśne rykiem wzywają jego imienia w nieposkromionym szale rui. Jego tchnieniem oddycha rozległa pierś morza i tętnem jego serca biją malutkie serduszka pod uśpionymi piersiami dziewic. On sprawia, że ciało kobiety staje się wielostrun- ną lirą, on, „najstraszliwszy z bogów”, którego strzały jak grbty słońca są dobroczynne i złowrogie. Kroczy po morzu i wśród chat pasterzy: szałas leśne w złociste pałace przemienia i na jałowych skałach sadi najcudniejsze kwiaty; wydiera żądło śmierci i życie niesie w rubinowym kielichu kochających ust. Bogom każe brać postać zwierząt i ludzi równa z bogami.

Eros! Cztery głoski, w których zamyka się cały rytm życia, cała ekstaza świata. Eros! Tak musiało brzmieć to słowo twórcze, które z pra- wiecznej Otchłani wydobyło harmonijne ciało Kosmosu. Nikt nie wie,

MH skąd pochodzi ten bóg, a ci, którzy chcą wiedzieć -- błędą. Jeden tylko stary wieszcz, Hezjod (same Muzy otworzyły mu usta), głosił, że Eros jest równie dawny, jak Ziemia i Tartar. I jeszcze jeden: poeta Ibykos, ten sam, którego żurawie pomściły, jasnowidzącymi oczyma dojrzał Erosa, wyłaniającego się z Chaosu.

Akuzilaos, w mrokach szukający początków bytu, mienił go synem Nocy i Eteru. I oto po raz pierwszy sprofanowano wielką tajemnicę narodzin Erosa. Dano mu ojca i matkę, nie bacząc, że miłość nie mogła istnieć przed narodzeniem Miłości. Odtąd niկ czar dostojnego misterium. Eros opadał na coraz niższe gałęzie genealogicznego drzewa bogów. Dla jednego był jeszcze synem Kronosa, kTÓła starych, przeddzie- usowych światów, a dla drugich dzieckiem Ejlejtji, akuszerki olimpijskiej. Rozmarzony Alkajos bąał o tym, jako Eros począł się z miłości Zefira, bożka wiaterek swawolnych, i Irydy, zwiewnej boginki tęczy. Aż w końcu zgodzono się prawie powszechnie, że rodzicami jego byli Ares i Afrodyta, owa para kochanków, złapana w misterną sieć kulawego Hefajsta.

Przestał być bóstwem czcigodnym. Miniaturowy bożek, którego można rzeźbić w kości słoniowej -- takie cacko milutkie i ładniutkie -- albo jako gemmę nosić w naszyjniku czy pierścieniu. Dano mu, jak chłopcu, do zabawy: łuk malutki, kołczanik pełen strzał, kwiatek, lirę. Ubrano go w skrzydełka pozłacane, utrefiono kędziorki, wypieszczono drobne kształty ciała, a tylko oczy rozświetlono ognikiem złośliwego uśmieszku.

Mógł sobie latać, gdzie chciał, i robić, co mu się podobało. Korzystał z tej swobody nieumiarkowanie. Obejrzał swój kołczanik i przekonał się, że strzały, których tam pełno, przydadzą się do wcale ucieśnej swawoli. Były ich bowiem dwa rodzaje: złote, bardzo ostre, wzniecały uczucie, ołowiane zaś i tępe zamykały serce przed miłością. Nie omieszkął próbować i jednych, i drugich. Dość było draśnięcia złotą strzałką, aby Helios dla pięknej Klymeny opóźniał bieg słonecznego wozu, a srebraolice Selene stawała nocą nad śpiącym Endymionem. „Chłopak bezbożny” Dzeusowi kazał przybierać najcudaczniejsze kształty w pogoni za rozkoszą coraz nowych uścisków. Nie było dlań nic świętego, bo przecież z jego woli sędziwa „matka bogów”, Rea, zaczęła sobie czernić sito włosy i uganiała po całej Frygii za pięknym chłopcem, Attisem.

Któż sprawił, że Apollo zapomniał o Dafne, skoro tylko ujrzał przed sobą płowowłosą Kyrene, rozdzierającą paszczę lwa? Któż popchnął statecznego Posejdona w plugawe objęcia Gorgony? Kto pozwolił, aby „bolesna matka”, Demeter, zniosła hańbę zwierzęcego gwałtu pana mórz w postaci ogiera? Z czyjej przyczyny Herakles w pokorze cierpiał uderzenia pantoflem od lidyjskiej królowej? Eros, Eros wszystko to sprawił. Wszystko, co niegodziwa Arachne wyhaftowała, wszystkie

znane miłostki bogów, słodkie i smutne, potworne i zbrodnicze, melancholijne i kazirodcze -- wszystkie, które znamy, i jeszcze dużo więcej, o czym się nigdy nie dowiemy, były dziełem olimpijskiego łobuza.

Zastanawiało jednak, że nie do wszystkich brał się równie ochoczo, a niektóre bóstwa wręcz omijał, jakby umyślnie. Rzecz była ciekawa, lecz nigdy byśmy jej nie potrafili rozstrzygnąć, nawet przy pomocy najsubtelniejszych metod naukowych, gdyby Lukianos z Samosaty nie podsłuchiwał był rozmowy między Afrodytą i Erosem i gdyby nam jej przez znaną swą niedyskrecję nie powtórzył. Rozmowa odbywała się podczas rannej kąpieli, przy której ten „klucznik alkowy Afrodyty” zwykł był towarzyszyć matce...

AFRODYTA Czym się to dzieje, Erosie, że władzę swą utwierdziłeś nad wszystkimi innymi bogami, nad Dzeusem, Posejdonem, Apollinem, Reą i nawet nade mną, twą rodzoną matką, a jednej tylko Ateny nie tykasz: dla niej jednej nie ma isker w twej pochodni ani strzały w twym kołczanie?

EROS Boję się jej, kochana mamo; tak strasznie zawraca oczami i ma taki surowy, męski wygląd. Ilekroć się do niej zbliżam z napiętym łukiem, zaraz potrząsa kitą na hełmie, że drzę cały i strzały wypadają mi z ręki.

AFRODYTA A czyż Ares nic jest jeszcze straszniejszy? jednak rozbroiłeś go i pokonałeś!

EROS O, nie! On sam mnie woła do siebie. Atena zaś patrzy na mnie zawsze tak złowrogo, a kiedy podleciałem raz do niej i trochę zanadto zbliżyłem pochodnię, rzuciła się ku mnie i zawołała: „Idź precz, albo, klnę się ojcem, przekłuję cię tą dzidą na wylot, lub chwycę za nogi i rzucę do Tartaru, lub jeśli wolisz, własnymi rękami rozerwę cię na drobne kawałki!” Jeszcze gorzej mi groziła. A do tego patrzy zawsze tak ponuro i na piersiach nosi poczwarny łeb z węzowymi włosami- kami; tak się tego boję, że uciekam, gdy ją tylko zobaczę.

AFRODYTA Dobrze więc, Ateny i jej głowy Meduzy boisz się, choć piorun Dzeusa wcale ci nie straszny. Dlaczego jednak oszczędzasz Muzy, które jakby stały poza okręgiem twych strzał? One przecież nie potrząsają pióropusząmi ani nie pokazują Gorgon?

EROS Dla nich mam za wiele szacunku, mamo. Wyglądają zawsze tak poważnie, chodzą zadumane, zajęte śpiewem. Często sobie przy nich stoję i słucham oczarowany.

AFRODYTA Pozostaw je tedy w śpókbju, Skoro są takie poważne. Ale i Artemidy unikasz j czemu?

EROS Bo jej nigdy złapać nie można: wciąż w swych górach siedzi. Zresztą ma już jedną namiętność.

AFRODYTA A to jaką?

EROS Łowy, swoje jelenie i łanie, za którymi wciąż ugania. Tym tylko żyje. Ale jej braciszka, który też jest łucznikiem, i to dobrym, ja...

AFRODYTA Wiem, wiem, syneczku, tego już nieraz ustrześliłeś.

Tak. Olimp grecki miał takiego Erosa, na jakiego zasługiwał. Ten chłopak na jednej gemmie starożytnej wyrasta z kwiatu, jak prawdziwy bożek wiosny -- łagodnie uśmiechnięty i niewinny. Na pewno więc nie był taki zły, dopóki go nie zepsuło otoczenie. Nie miał moralnego oparcia we własnej rodzinie, a dwór Dzeusa, jak każdy dwór, był pełen intryg, plotek, podstępów, zawiści, skrytych i jawnych żądz, gdzie miłość była jedyną ważną sprawą. Nie trzeba geniuszu Epikura, żeby widzieć, iż ci bogowie ludźmi i światem się nie zajmują. Podobni do rzymskich imperatorów i francuskich Ludwików, uważali ziemię za nienajgorsze miejsce rozrywek.

Od rana spiżowe ściany królewskiego pałacu na Olimpie trzęsły się od krzykliwych wyrzekań Hery, która skarżyła się na niewierność Dzeusa, nie mogąc pojąć, dlaczego się tak dzieje, skoro ona corocznie kąpie się w źródle Kanathos koło Nauplii i na nowo staje się dziewicą? U stołów biesiadnych, zastawionych nektarem i ambrozją, podawano sobie z ust do ust nieskromne opowiadania o nieobecnych i wymownymi spojrzeniami zdradzano sekrety współbiesiadników. A jeszcze później, gdy już Hory zamknęły na noc wrota Olimpu, aż dziw, jaki ruch niesamowity po korytarzach i wokół dworów szczęśliwych bogów!

Bawcie się! Noc już sprzęga rumaki do jazdy, Za matką suną w chórze pozłociste gwiazdy, Idzie potem milczący, w ciemnych skrzydeł mroku, Sen i czarne przyśnienia o niepewnym kroku...

Co chwila spotykało się kogoś, kto zdążał w stronę wręcz przeciwną od swego mieszkania. Tylko w swoim skromnym domku pochrapywała spokojnie sędziwa, zapomniana Temida, oświetlone zaś okna pałacu królewskiego wskazywały, że sen nie zawarł jeszcze smutnych oczu Marii Leszczyńskiej Olimpu...

Eros widział to wszystko. Znał swoich bogów i ich sekrety niegorzej od Hermesa. Wiedział, jak każdy z ich kocha i czego szuka w miłości. Najwięcej lubił Dzeusa. Ten podejmuje dzieło rozkoszy z całą świadomością obowiązku. Boginie, nimfy, kobiety śmiertelne bierze w ramiona i zapładnia, jak ktoś, co jest przeświadczony o swej misji. Czyni to z przyjemnością i dlatego boi się zazdrosnej małżonki. Zachowuje wdzięczność dla słodkich istot, które mu dają rozkosz, i kocha swoje

potomstwo miłością silnego mężczyzny. Jego brat, Posejdon, jest brutalny. Nie zabiega o łaskę zniewolonych oczu, lecz używa gwałtu. Dziki instynkt kieruje go ku wstrętnym potworom. Hades, król podziemi, żyje w monogamii. Apollo jest poetą i w miłości spotykają go niepowodzenia. Hermes ma czas jedynie na przelotne uściski. Dionizos kocha wesoło i z fantazją. Hera nigdy nie zdradzi Dzeusa. Afrodyta nigdy nie będzie wierną Hefajstosowi. Inne boginie zdają się na przypadek i nie są odporne więcej, niż tego wymagają okoliczności. Nimfom powiedziano jeszcze przy urodzeniu, że są stworzone do kochania. A jakże znów może być cenniejsza nagroda dla pięknej śmiertelniczki nad pocałunek boga?

Kochajcie zatem! Nie uciekajcie przed miłością! Nie wolno, nie macie prawa. Ani wy, bogowie, ani wy, ludzie. Kochający stoi pod opieką Erosa. I Afrodyty, jego matki. Oto jeden przykład z tysiąca -- historia Anaksarety, panny cypryjskiej;

Pochodziła ona ze znakomitego rodu, a kochał się w niej Ifis, biedny młodzieniec. Co dzień szedł z komym błaganem pod próg dziewczyny, drzwi jej domu kwiatami stroił, piastunce się zwierzał, służbę o pomoc i radę prosił, szalone listy posyłał. Śmiała się dumna Anaksareta z gorących zaklęć Ifisa. Nie wzruszały jej ani jego łzy, ani groźby. Ifis, któremu światło oczu kochanej droższe było od światłości dnia ziemskiego, powiesił się u drzwi domu Anaksarety. Z głębi sanktuarium pafijskiego Afrodyta oczami z szafirów patrzyła na oporną dziewczynę. I widziała jej śmiech, i słyszała jej słowa, które były ostre i zimne jak kamienie. W dniu tym odbywał się pogrzeb Ifisa. Za ciałem szła matka płacząc. Pochód mijał dom Anaksarety. Tłum odwrócił oczy. Albowiem na piętrze otwarte było okno, a w nim stała Anaksareta, wystrojona, jak zwykle, i uśmiechała się, złym spojrzeniem odprowadzając wiezione na cmentarz zwłoki Ifisa. Pod wieczór, gdy żałobnicy wracali, spostrzegli, że Anaksareta do tej pory nie ruszyła się od okna: stała tak samo wystrojona i z tym samym uśmiechem. Jakoż nie ruszyła się nigdy: ręka Afrodyty jej dotknęła i w głaz zamieniła tę, która miała serce z kamienia.

Chodząc po ziemi, ukazywał się Eros oczom ludzi prostych takim, jakim go sobie oni wyobrażali. Wiemy o tym z opowiadania starego Filetasa.

Był to pasterz lesbijski, który pasł swoje trzody, grając na fujarce. Miał on cudny ogródek, dzieło rąk własnych. Na wiosnę kwitły tam róże i lilie, hiacynty i fiołki; latem zapalały się czerwone maki i na drzewach złościły się owoce; jesień rozwieszała na giętkich gałązkach latorośli winogrona i przynosiła soczysty dar fig i jabłek granatu. Rankami zlatywały się ptaki, jadły owoce i śpiewały.

A kiedy razu pewnego zajrzał tam Filetas około południa, spostrzegł wśród mirtów i granatów chłopczyka, zrywającego owoce: pleć miał

białą jak mleko, złote włosy płonęły jak ogień, nagi był i taki świeży, jakby dopiero co wyszedł z kąpieli. Hulał sobie po Filetasowym ogrodzie jak po własnym. Staruszek chciał go schwytać, bo się bał, żeby mu łobuz drzewek nie połamał. Ale on wymknął się jak błyskawica i uciekał, kryjąc się wśród maków i róż niby przepiórka. Zmęczony się, Filetas przystanął i oparł się na lasce. Zapytał chłopca, skądby był – czy z sąsiedztwa, ów nie odpowiadał, tylko uśmiechał się i ciskał w starego jagodami. Pasterzowi gniew ustąpił z serca; sam już teraz prosił, aby tylko podszedł do niego, a da mu wszystko, czego zechce. Wtedy chłopak przemówił, a głos jego był jak śpiew słowika lub jak śpiew umierającego łabędzia. (Nikt nigdy nie słyszał śpiewającego łabędzia, lecz wszyscy poeci starożytni zapewniali, iż śpiew ten nie ma sobie równego pod względem piękności.) Filetas poznał, kogo ma przed sobą. I zaraz spostrzegł złote skrzydełka u ramion i łuk, i kołczan. Eros odleciał, napędzając duszę starego pasterza słodkim wzruszeniem.

Najczęściej widywali Erosa poeci. Lęk ich ogarniał na myśl o wszech-obecności tego bóstwa. Wkradało się ono do oczu kochanki, plątało się we włosach ubóstwianej kobiety, można je było znaleźć zaczajone pod poduszką lub wśród książek leżących na stole. Anakreonta zbudziło raz w nocy stukanie do drzwi: był to Eros zziębnięty i przemokły. Poeta wziął go do siebie, odegrał i odchuchał, a on w podziękę za to wraził mu w samo serce jedną ze swych strzał jadowitych. Platon któregoś dnia zaszedł w lesie śpiącego Erosa: róże kwitły dokoła niego, a on uśmiechał się przez sen tak słodko, że pszczoły zlatywały się do jego ust, aby szukać w nich miodu. Jakiś nieopatrzny wierszopis wrzucił malutkiego bożka do wina i wypił; czuł później, jak w jego piersiach boski motylek trzepota skrzydełkami.

Halucynacje poetów udzieliły się rzeźbiarzom i malarzom. Odtąd nie można się było ruszyć, aby się nie natknąć na uskrzydłonego Olimpijczyka. Całe korowody Erosów tłoczyły się na malowanych sufitach i ścianach domów, lotem swym uskrzydlały wdzięczne wazy greckie, skakały na pudełkach od szminek i na stoikach z perfumami, statuetki Amorków z alabastru, kości słoniowej, srebra lub gliny wypalanej, zapelniały stoliki dam wytwornych i wielkich kurtyzan, wieszały się u ich szyi jako drogocenne gemmy i obejmowały napiętki ramionkami ze złota, wplecionymi w misterne bransolety.

Były to niby kwiaty latające, a rodzaj ich był mnogi i rozmaity, jak rodzaj motyli. Ruchliwy ten ludek bożków małpował na obrazach wszystkie czynności ludzkie: Erosy zbierały kwiaty i wiły z nich wieńce, tańczyły i zasiadały przy ucztach, bielily płótno i złoto ważyły w jubilerskim sklepie, łowiły ryby na wędkę, żeglowały w muszlach, jeździły na wózkach zaprzęgniętych w kraby i urządziły wyścigi, siedząc na drewnianych konikach.

Bóg, zrodzony z Chaosu, starszy od Kronosa i Dzeusa, stał się figlar-



nym, psotnym, nieznosnym chłopczyskiem. Nie podobna było się przed nim opędzić. Wszędzie wścibiał swój nosek ciekawy. Opuszczona przez Tezeusza Ariadna rozpaczała wśród skał Naksos: on tam był i udawał zmartwienie, podnosząc do suchych oczu swą drobną piąstkę; Afrodyta słuchała zwierzeń Aresa: on siedział na trawie i próbował, czy mu do twarzy w hełmie boga wojny; Herakles spał -- on mu wykradał strzały z kołczana. Olimp, którego nie zdobyli Giganci, zajęły te małe, swawolne istoty. Odebrały bogom ich święte atrybuty: niosły z dziecinną powagą tyre Dionizosa, piorun Dzeusa, tarczę Aresa, lirę Apollina, nawet ponuremu Posejdonowi wydarły trójząb, którego uderzenie ziemią wstrząsa. Z łatwością tym wszystkim zawładnęły, albowiem znalazły je porzucone w chwili, gdy za ich sprawą bogowie zabawiali się miłością.

Poeci jedni widzieli, co się dzieje, i wielkim głosem wyrażali swe oburzenie. Bo tak się od dawna umówili, żeby miłość uważać za cios i nieszczęście. Jest ona chorobą i cierpieniem. Mąci rozsądek i odbiera panowanie, nad sobą. Przynosi jeno łzy i udrękę. Obawiali się jej zatem i szukali jej jednocześnie. Gdy przyszła -- narzekali. Gdy odchodziła -- skarżyli się, że jej nie ma. A wszystkiemu winien Eros. Modlili się do niego bluźnierstwem. Przez tysiąc lat wymyślali mu w wierszach melodyjnych. Mieli kilka szczególnie pięknych metafor, które podawali sobie z jednego stulecia w drugie, jak kwiaty. I na dźwięk imienia Erosa zgrzytali heksametrami. Czyhali tylko na sposobność, aby go dostać w swe ręce: wtedy wyskubią mu wszystkie pióra ze skrzydeł, zwiążą postronkami i sprzedadzą na targu niewolników.

Groźby te były tak straszne, że Afrodyta, zaniepokojona długą nieobecnością syna, rozesłała po całej ziemi sztafetę tej treści:

„Czy ktokolwiek nie spotkał na drodze zbiegłego Erosa? Kto mi o nim doniesie, otrzyma nagrodę: pocałunek Pani Cypryjskiej; a kto go przyprowadzi, nie pocałunek dostanie, ale coś więcej. Chłopca można łatwo poznać, nawet wśród dwudziestu innych: skórę ma nie białą, lecz ognistą, oczy żywe i płomienne, umysł jego przewrotny, a mowa słodka. Nigdy nie mówi tego, co myśli. W głosie jego jest miód, a w sercu żółć. Złośliwość, zdrada, kłamstwo, podstęp -- oto jego igraszki okrutne. Włosy ma piękne, a twarz bezczelną; ręce drobniutkie, ale strzały, które ciska, lecą daleko: dosięgają aż do brzegów Acherontu i nie ustrzeże się przed nimi nawet król piekieł. Chodzi zawsze nago, lecz myśli swe okrywa gęstą zasłoną. Skrzydła ptaszęce noszą go wszędzie, a siada na sercach ludzkich. Ma łuk malutki, a na cięciwie strzałę. Ta strzałka jest również mała, ale do nieba doleci. Na barkach dźwiga złoty kołczanik, pełen grotów jadowitych, którymi nieraz i mnie samą rani. A ma jeszcze pochodnię, co nawet słońce zapala. Komu ten chłopak w ręce wpadnie, niech go przyprowadzi w kajdanach -- bez litości. Jeśli zacznie płakać, strzeżcie się podstępu; jeśli was ze

chce uściskać, uciekajcie: pocałunek jego jest złowrogi, usta pełne jadu. A jeśli wam powie: Oto moja broń, bierzcie -- nie wazcie się tknąć; to zdrada: jego broń pali jak ogień."

Płonne były obawy stroskanej matki. Pomimo całej zawziętości, Jaką żywiły dlań znękanie serca poetów, nie groziło Erosowi żadne niebezpieczeństwo. Miał tylu zaufanych i popleczników, co wrogów -- to prawda. Ale przede wszystkim ulegali mu sami wrogowie, ledwo na nich spojrział łaskawie.

Poeta, który wczoraj jeszcze w dżdżystą, ponurą noc pił na umór w swym samotnym pokoju, przekonał się rano, że kwiaty, złożone wieczorem u drzwi kochanki, przyjęto -- wielbił Erosa.

Ten zaś, co wczoraj za okno wyrzucił posążek skrzydlatego bóstwka, ponieważ zdradziła go słodko uśmiechnięta Heliodora, spotkał nazajutrz Dzenofilę o oczach jak chabry i strojąc ołtarzyk świeżymi kwiatami, mówił: „Nigdy już moje usta nie obrażą Erosa...”

Wrócił Eros na Olimp. Jechał na wozie zaprzężonym w matczyne gołębice, a włosy miał uwieńczone mirtem. Dokoła niego cisnął się nieprzebrany tłum dusz uwiedzionych, które zgodnym chórem śpiewały mu pieśń pochwalną.

Wrócił i zasiadł na najwyższym szczycie Olimpu, skąd wszechwładny majestat Dzeusa spod ciemnych brwi spogląda na rozłożoną przed nim tarczę ziemi.

Po miastach, wśród gór, wśród gajów stoją świątynie bogów marmurowe, malowane, błyszczące złotymi akroteriami, wsparte na kolumnach, które się wydają łodygami kwiatów. On nie ma świątyń. W jednej Beocji ma swój chram odwieczny, gdzie święte jego imię zamknięto w czarnym, tajemniczym kamieniu. Eros nie potrzebuje świątyń murowanych: każde serce, boskie czy ludzkie, jest jego świątynią. Z miast, spośród gór, ponad drzewa gajów wiją się błękitnawe i bure skręty dymu z ofiarnych ołtarzy. Żadne mdłej chwały bóstwa chciwie wypatrują tych oznak czci zdawkowej, a nozdrza ich z rozkoszą wciągają woń ofiar, pokarm dla nich słodszy i bardziej ponoć posilny od nektaru i ambrozji. Eros nie ma takich ołtarzy. Syci się inną wonią ofiarną: westchnieniem, tą niemą pieśnią wezbranego serca. Dla niego w libacjach codziennych płyną łzy kochanków, dla niego rozkwitają malwy pierwszych pocałunków, dla niego zapalają się wilgotne światła oczu w sanktuariach nocy miłosnych, pod jego stopy ścielą się kwiaty zwiędłe na poblądłych czołach i do niego modlą się wargi poruszane szeptem pragnień utajonych.

## NAJAŚNIEJSZY SATYR

Cudne musiały być okolice Teb w owych czasach. W czasach legendy greckiej. Ludzi było mało, a drzew bardzo wiele. Miłość bogów nie mogła odbywać się inaczej, jak w powietrzu rozbrzmiewającym wonią kwiatów. Żdźbła trawy wyciągały się do góry jak ramiona pozdrawiające miłych a dostojnych gości. A gdy bóg jakiś łączył się z nimfą lub uroczą śmiertelniczką, na tę chwilę „boska ziemia siała pod nimi trawki młodziutkie, lotus świeży od rosy i szafran, i miłe hiacyny”. Tak było wówczas, gdy na szczycie Idy owianej wiatrami Dzeus pożądaniem wielkim ogarniał Herę, która doń przyszła w czarodziejskiej przepasce Afrodyty.

I tak musiało być wtedy, gdy po tłustej ziemi tebańskiej szła córka króla Nykteusa, niezrównana Antiope.

Idzie i zbiera kwiaty. Wokół niej róże i jaśmin okryły ziemię tkaniną jutrzeńki i białą gwiazdzistą, a przedziwny lud storczyków rozbiegł się z niemyim krzykiem po rozłogach zielonych pól. Były to czasy, kiedy kwiaty nie miały jeszcze swych ustalonych pór wzejścia i zamierania, lecz rosły wszystkie razem, rozkładając wzorzysty kobierzec pod stopy młodego słońca.

Szła smukła Antiope, do białej brzozy podobna. Każdy jej krok był jednym z tych nieopisanych cudów, które najbardziej niewolą serca doskonałych bogów i mężów, po ziemi chodzących. Na lewym ramieniu niosła koszyk, a w nim lilie podawały usta różom. Z prawego ramienia -- wyciągała je co chwila, by w przejściu uszczknąć nowy kwiatek -- zsunęła się koszula, odsłaniając plecy mlecznobiałe, które złociło słońce.

Mówiono o niej:

-- Jest równie piękna jak Pani Cypryjska.

-- Kibić i świeżość cery ma ona jak Hory, słodkie boginki wiosny, które strzegą bram Olimpu. Z jej ust płynie głos Kaliopy, najwymowniejszej z Muz.

--- Tak. I ma umysł Temidy, najmądrzejszej bogini, a ręce, jej drobne ręce, są tak umiejętnie jak boskie dłonie Ateny.

-- Gdyby liczba Charyt nie była raz na zawsze zamknięta, mogłaby ona być czwartą Charytą.

Nie było w tych słowach bluźnierstwa. Sami bogowie cieszyli się jej widokiem.

Antiope weszła na ścieżkę leśną. W tej chwili znajomy od dawna las zmienił się nagle: był jak tajemnicza, niezmierna świątynia, owiana wonią kadzidlana, unoszącą się z niewidzialnych trybularzy. Zarośla przestały drzeć lęklwym życiem ptaków i czyjaś ręka podparła chwiejne czoła drzew.

Wtedy stała się rzecz straszna. Zza krzaka wychyliło się kozłonogie

licho leśne, o oczach jak rozżarzone węgle, o ustach tak purpurowych jak zduszone w pocałunku winne jagody. Nie miała sił krzyczeć. Koszyk wypadł jej z omdlałej dłoni. Rozsypały się kwiaty przy ścieżce leśnej. Na róż szkarłacie, na bieli jaśminów, na złotogłowiu jej własnych włosów, pił Satyr gorące łzy jej pierwszej miłości. A potem, gdy zorza wieczorna chłodnym pożarem objęła konary drzew, powiedział jej łagodnym, szeptem:

-- Wracaj do domu, Antiope, i nie bój się, albowiem kochałaś wielkiego boga.

-- Ktoś jest? -- pytała nie otwierając oczu.

A sponad drzew ozwał się głos do gromu dalekiego podobny:

-- Jam jest Dzeus, król nieba i ziemi.

Konie Heliosa dobiegały ostatnich krańców zachodu, pozostawiając za sobą cień. Tłuste trzody baranów wracały z pól wełnistą falą. Gdy przeszły, pojawiły się stada krów, jak chmury pełne deszczu gnane wiatrami. Całą równinę, wszystkie drogi zajęły trzody królewskie. Antiope czekała, aż znikną.

Wracała smutna przez pociemniałe ścieżki. Mrok i echo gromu wieściły jej złą przyszłość. Szklane pałeczki deszczu uderzały po zielonych strunach liści. Szła krokiem chwiejnym, słaba i opuszczona. U wrót czekał na nią z latarką ojciec Nykteus, podobny do nocy, której imię we własnym nosił imieniu. Powitał córkę obliczem surowym. Podniósł w górę latarkę i patrzył w jej oczy. Gdyby znał Ajschylosa, wiedziałby, że „kiedy dziewczynie oczy błyszczą, znać, że nie jest już dziewicą”. Ale Nykteus nie mógł znać Ajschylosa. Słuchał, co mu opowiadała córka. Powiedziała mu prawie całą prawdę: że ją nastraszyło liczo leśne, że uciekała, o krzaki drąc szaty, a nogi krwawiąc po kamieniach, że zbłądziła --- o! bardzo zbłądziła -- i ledwo drogę znalazła do domu. A potem poszła na górę, do swego pokoju, usiadła na łóżku i płakała.

...Ojciec dowie się prawdy i wyrzuci ją z pałacu. Próżno zasłaniać się Dzeusową miłością. Ludzie są źli i zawistni. Nikt jej nie uwierzy...

Jakoż musiała iść precz królewna Antiope. Otworzyły się przed nią inne pałace, ponieważ była piękna. Otworzyły się przed nią ramiona królów, którzy ją kochali i byli dla niej okrutni. Cierpiała. Odpychana i znów przygarniana, wieczna tułaczka miłości, Antiope schroniła się w góry czarnego Kitajronu, by tam, jak niedźwiedzica, wydać na świat Dzeusowe bliźnięta: Amfiona i Dzetosa.

Synowie, gdy dorośli, pomścili cierpienia matki i wprowadzili ją do Teb, na stary tron Nykteusa. Ale nie tu był kres jej niedoli. Za sprawą Dionizosa, którego obraziła, oszalała Antiope błędziła po białych ścieżkach Grecji z rozwianym włosiem. Stała się najwścieklejszą z Menad i krzyk jej rozbrzmiewał po górach wyciem zgłodniałej wilczycy. Gdy na chwilę odzyskiwała świadomość, rzucała się na posągi bogów i kurczowo chwytając się poświęconych marmurów, błagała o zmiłowanie.

U stóp drogiego Muzom Parnasu spotkał ją Fokos i uleczył. Oddała mu w nagrodę swe dobre uciszone serce. W małym miasteczku tokijskim, pod szarym kamieniem grobu, spoczęła razem ze swym mężem, dawna kochanka króla bogów, i ziemi, na której leżała, przynosiła błogosławieństwo urodzaj

#### CUDOWNE JAJE

W jednej ze świątyń spartańskich można było do późnych czasów oglądać rzecz bardzo osobliwą. Oto ze środka pułapu zwieszało się na wstęgach duże jaje, przedmiot szczególnej czci, wielka świętość tego chramu. Zwano je „jajem Ledy”, gdyż z niego to właśnie urodziła się najpiękniejsza ze śmiertelnych, Helena, ta sama, która, stojąc na murach Troi, z kwiatkiem w palcach, uśmiechnięta, patrzyła na zawieruchę mężów, ginących u jej stóp.

Ale skąd owo jaje? Jedni mówią, że spadło z księżycy. Mogło się to zdarzyć. Wiadomo przecież powszechnie, że na księżycu kobiety znoszą jaja, a z nich wykluwają się istoty piętnaście razy większe od ludzi. Inni znów podają, że zniosła je Nemezis, którą Dzeus wziął w chwili, gdy, aby się przed nim ukryć, swą boskość pod białym pierzem gęsi schowała. Wszelako ponad wszystkimi legendami panuje wszechwładnie mit o miłości Dzeusa i Ledy.

Leda była żoną króla Sparty, Tyndareosa. Kochali się oboje wiernie, żyjąc nadzieją, że pod błogosławieństwem bogów uściski ich staną się kiedyś płodne. Nie wiedział Tyndareos, że ciąży nad nim gniew Afrodyty, i nie wiedziała Leda, że bóg najdosłojniejszy raczył na nią spojrzeć okiem miłości.

Codziennie rano królowa Leda szła kąpać się w Eurotasie. Miała tam miejsce ustronne i zaciszne, osłonięte tak gęstymi splotami gałęzi, że promienie słońca przesiewały się drobnym deszczykiem złotym, prawie nie rozpraszając zielonego mroku. Po drodze pełno kwiatów – kwiaty na wodzie i kwiaty na łące, a w oddali góry, których wierzchołki łagodne przypominały kształtem piersi kobiece. Idąc do kąpieli spotykała zwykle młodziutkiego Satyra, który stojąc pod drzewem grał na podwójnej fletni. Uśmiechała się do niego, a on, nie przerywając grania, witał ją chciwym spojrzeniem zamyślonych oczu. Eurotas płynął wolno i bez szmeru. Wody jego były tak spokojne i przejrzyste, że poprzez algi i porosty widziała królowa Leda małe rybki, mknące niby czółenka srebrne, posuwane niewidzialną dłonią jakiejś nimfy, która w głębi groty wilgotnej bez przerwy snuła płynną, szmaragdową tkaninę fal, łamiących się w oddali koronką piany.

Tam co dzień kąpała się królowa Leda. Wyszedłszy z wody, kładła się na trawie i patrzyła w płątawę ciemnych gałęzi, osypanych złotą

rosą słońca, póki oczu jej nie zamknął sen, kochanek maków polnych. Sen ranny jest rozkoszny. Przez uchylone powieki widać drzewa otaczające, które wyglądają dziwnie: mają liście nieznanego kształtu i nie tylko zielone, ale i różnobarwne, a wśród nich przelatują ptaki, jakich się nie spotyka na ziemi.

W różowych ramkach przymkniętych powiek zjawił się jej obraz osobliwej przygody, o której wczoraj wieczór opowiadano na dworze Tyndareosa. W dalekiej Paflagonii żył syn Hermesa i Afrodyty, zwany od imienia rodziców Hermafrodytem. Był niezwykle piękny i zakochała się w nim nimfa rzeczna, Salmakis. Hermafrodyt nie znał jeszcze miłości i uciekał przed uściskami najady. Ale był na tyle nieostrożny, że kąpał się w rzece, której ona była bóstwem. Widok jego cudnej nagości podsycił namiętność Salmakis. Nie mogąc się dłużej opierać żądzy, nimfa rzuciła się na Hermafrodyta i przywarła doń całym ciałem, prosiła o pocałunek. Młodzieniec próbował się wyrwać. Salmakis, odchodząc od zmysłów, zaklęła bogów, aby ich tak razem na wieki złączyli. Tak się stało, i oto z dwóch istot różnych powstała jedna, mająca znamiona mężczyzny i kobiety...

Z tych marzeń wyrwał królową Ledę przenikliwy krzyk gonionego ptaka. Był to łabędź -- duży, biały, piękny łabędź. Trzepotał skrzydłami w trwodze bezradnej. Uciekał przed orłem. Nie widząc nigdzie ratunku, biały ptak wyleciał na brzeg i cały drżący przypadł do Ledy. Ogarnęła go ręką, narzuciła nań swój płaszcz, ukryła przed oczyma drapieżcy. I wtedy serce ptaka przestało nagle łomotać ze strachu, drżał jeszcze, ale jakby innym jakimś drzeniem. I coraz silniej przywierał do łona królowej. Śnieżnymi skrzydłami wziął ją, niby w ramiona, długą szyję wysuwał powoli ku górze. Śmiała się królowa Leda: -- Nie bój się, ptaku mój biały! Nie puszczę cię, nie dam orłowi! A on wciąż bliżej i mocniej się tulił i szyja wysuwała się coraz dalej, jakby dzióbem szukał jej ust. Podniosła się na chwilę i spojrzała w oczy ptaka. Lęk ją ogarnął. Zdawało się, jakby na nią patrzyły źrenice ludzkie lub boskie, szerokie, palące, namiętne. I znów opadła. Łabędź ciężarem swym trzymał ją w objęciach.

A gdy spojrzała w górę, zobaczyła, jak na gałęzi drzewa siedział spokojnie ów orzeł. Wiedziała już teraz, kto się ukrywa pod śniegiem piór białych, i nie opierała się dłużej. Zdjęta lękiem nabożnym, podawała Dzeusowi swe łono, niby czarę, z której się spełnia obietnice bogom w dniu święta...

A wracając na Olimp, przyłapał Dzeus małego Erosa. Trzymając go za ucho z miną zabawnie surową, mówił: --\* Ej, ty! zabiorę ci ja ten twój kołczan i twoje strzały. Skrzydlate zaś pacholę odrzekło:

-- Nie boję się ani twoich gróźb, ani twego gromu. Zechcę, a znowu będziesz łabędziem!  
Tego już było za wiele. Zuchwałcę trzeba ukarać. Obetnie mu się skrzydła, żeby siedział w domu.

EROS Dzeusie, Dzeusuniu, jeśli nawet zgrzeszył, przebaczył! Jestem przecież jeszcze małym, głupim chłopcem.

DZEUS Co? ty małym chłopcem, ty, starszy od Japeta? To dlatego, że nie masz brody ani siwych włosów, udajesz dziecko, ty, stary łajdaku?

EROS No, niech już będzie, jak chcesz.-Ale cóż ja, stary człowiek, uczyniłem ci tak złego, że chcesz mnie więzić?

DZEUS Czyż to drobiazg, ty, przeklęty łobuzie, że wyrabiasz ze mną, co ci się żywnie podoba, i zmieniasz mnie, wedle woli, w Satyra, byka, orła, w deszcz złoty, w łabędzia? Ani razu nie uczyniłeś tak, aby jakaś kobieta we mnie samym się zakochała: nigdy dotychczas nie zauważyłem, abym za twoją sprawą podobał się kobietom. Jeśli chcę się do nich zbliżyć, muszę się zmienić do niepoznania i uciekać się do wszelakich sztuczek czarodziejskich: a one wszystkie kochają się w byku lub w łabędziu i umierają ze strachu, gdy im się na oczy pokażą.

EROS To dlatego, że śmiertelni nie mogą znieść widoku Dzeusa.

DZEUS Czemuż tedy Branchos i Hiakintos zakochali się w Apol- linie?

EROS Tak, ale Dafne przed nim uciekała, chociaż taki piękny i kędzierzawy. Zresztą powiem ci coś: chcesz- li stać się miłym, tedy nie potrząśaj egidą i piorun zostaw w domu; zrób się przyjemnym, ile tylko potrafisz: spuść swe kędziory po obu stronach głowy, a u góry owiń je przepaską, ubierz się w purpurę, wdziej złote sandały, bujaj przy dźwięku fletów i stąpaj w takt cymbałów, a jestem pewny, że otoczy cię rój pięknych kobietek, liczniejszy od dionizyjskiego orszaku, i wszystkie będą tylko na ciebie patrzyły.

DZEUS Daj spokój, już ja się nie zrobię aż tak przyjemnym.

EROS A więc pożegnaj się z miłością. To ci przyjdzie o wiele łatwiej.

DZEUS Nie, miłości się nie wyrzeknę: ale pragnąłbym wygodniej zrywać jej owoce. Musisz mi w tym dopomóc. Pod tym tylko warunkiem puszczam cię wolno.

## CZAR-ZIELE

Życie Hery stawało się coraz bardziej nieznośne. Niewierność Dzeusa obudzała w niej zazdrość obłądną, a codzienne kłótnie ośmieszały ją wobec wszystkich. Boginie doradzały jej większą wyrozumiałość, na którą nie umiała się zdobyć. Siedziała na tronie, obok niewiernego małżonka, dumna, milcząca, zacięta. Mówiono, że pod jej spojrzeniem nektar kwaśniej i ambrozja nabiera gorzkiego smaku. Dzeus myślał o rozwodzie, ale mu wytłumaczono, że krok ten sprawiłby złe wrażenie na ziemi, gdzie wiara w bogów stała się chwiejna i niepewna.

Nie zwracał więc na żonę uwagi. Ulegając powszechnej modzie, sprowadził na Olimp cudnego chłopca, frygijskiego, Ganimedesa, dał mu nieśmiertelność, mianował podczaszym, całował go i pieścił publicznie. Hera musiała słuchać, jak wszyscy podziwiają pacholęcia oczy jasne, włosy złote i palce różowe.

Ale nie tu był kres jej upokorzenia. Stała się rzecz straszna, niegodziwa, niesłychana: Dzeus sam urodził dziecko -- Atenę -- i sprawił się tak dzielnie, jakby pragnął pokazać Herze, iż nawet jako matka jego potomstwa nie jest mu już więcej potrzebna.

I oto cierpliwość królowej nieba się wyczerpała. Opuściła nienawistny Olimp z postanowieniem, by nigdy nie wrócić. (Jeśli Dzeus na to liczył, to się srodze omylił!) Szła w zwykłym, codziennym stroju: ni berła złotego nie miała, ni diademu, w jedynej ozdobie swej królewskiej urody. Towarzyszyła jej wierna Iryda, która swe skrzydła tęczowe ukryła pod ciemnym płaszczem.

Szła Hera do świętych wód Okeanosa obmyć swe rany serdeczne --\* tam, gdzie co wieczór Helios poi konie utrudzone i gdzie na skłonie nocy gwiazdy odświeżają się rzešką kąpielą. Mieszkają tam bóstwa odwieczne, dobre, łagodne. One ją przyjmą, pocieszą, ukoją.

Po drodze zamierzały odwiedzić Chloris, boginkę kwiatów. Wypadło im iść przez las. Iryda, jako panna, bała się i dręczyła Herę niestosownymi pytaniami.

Okazało się, że obawy jej były uzasadnione. Gdy bowiem wyszły na polanę leśną, spostrzegły biegnącą ku nim gromadę Satyrów. Iryda nigdy jeszcze nie widziała ich z tak bliska. Wszyscy byli pijani i pędzili z wielkim hałasem. Nagość ich pozwalała dostrzec, jak dalece niedwuznaczne były ich zamiary. Opadli obie boginie i wybuchnęły szalonym śmiechem. Trzęsły się im ohydne brodziska, a mięsiste, czerwone wargi mlaskały z ukontentowania. Wzięli się za ręce i zaczęli tańczyć wokół spłoszonych kobiet. Nagle jeden z nich krzyknął jakieś imię. W tej chwili gromada rozpieczęła się i wrychle tupot ich nóg zgłuszyły mchy leśne.

Ani Hera, ani Iryda nie rozumiały, co się stało. Gdy się jednak obejrzały za siebie, poznały Heraklesa. Szedł wolno, podpierając się ma



czugą. W kołczanie na plecach pobrzękiwały strzały niechybne. Hera zagryzła usta. Trzeba było znieść jeszcze jedno upokorzenie: syn Dzeu- sowej kochanki, ten, którego od kołyski prześladowała, stawał się jej wybawcą. Obojętnie wysłuchał podziękowań i odszedł. Boginie trzymały się odtąd brzegów morza i uśmiechały się do wesołych Nereid, harcu- jących na koniach morskich. Nazajutrz doszły do kraju, w którym panowała Chloris.

Po raz pierwszy wypoczęła znękana dusza Hery w tym przedziwnym świecie woni, który musiał być podobny do owego „przelśnionego słońcem skrawka ziemi” od Cannes do Nicei, gdzie Maeterlinck uczył się poznawać „inteligencję kwiatów”.

Chloris powitała Herę z czcią należną najwyższej bogini, ale i z tą miłą serdecznością, której tajemnicę znają jedynie bóstwa przyrody. Uśmiech jej był jak różowy promień świtu, a każde słowo jak powiew wiatru w dzień letni. Zapytała o powód i cel wędrówki i lzy swe pomieszała ze łzami Hery.

Dumna bogini poczuła w sobie kobiecą potrzebę wyznań. Mówiła o Olimpie, którego Chloris nie знаła. Łagodną boginkę dreszczem przejmowały te opowiadania o radosnym życiu bogów i wielu rzeczy nie mogła nawet zrozumieć.

Hera wspominała czasy, kiedy poznała Dzeusa. Świat był wówczas młody, a ziemia czerwieniła się krwią Tytanów, których Olimpijczycy pokonali. Sama brała udział w walce i po zwycięstwie Dzeus ją chwalił, gładząc jej delikatne, dziewicze policzki. W pewien dzień zimowy przyleciała do niej nagle kukułka zziębnięta i drżąca. Śmiejąc się, schowała ją pod koszulę, między piersi. Wtedy stało się coś dziwnego. Kukułka poszarpała jej szaty, a zamiast czarnych skrzydeł ptaka, wyrosły dwa potężne ramiona, które ją chwyciły w objęcia. Był to Dzeus. Oparła się jednak i musiał odejść zawstydzony. Wieczorem, na zgromadzeniu bogów, ogłosił, że pragnie ją poślubić.

Została królową Olimpu. Urodziła Dzeusowi Hebe, boginię młodości, a później, gdy już uściski ich stały się chłodne, przyszedł na świat Hefajstos. Dzeus coraz bardziej się od niej oddalał. Ilekroć wracał od innej, płakała, krzyczała, groziła. Doszło raz do tego, że uniesiony gniewem schwycił ją i powiesił za ręce u szczytu Olimpu. Wtedy stała się zła i prześladowała każdą kobietę, na którą Dzeus tylko spojrział. Za jej sprawą kochanki Dzeusa znosiły najokrutniejsze cierpienia, a jego nieprawe dzieci miały życie gorzkie.

Ach, żebyś ty wiedziała, Chloris, żebyś wiedziała!... Nie podobna kroku zrobić, by się nie spotkać z którąś z tych wstrętnych istot. Cały świat jakby był jednym harem Dzeusa! Nic się przed jej wzrokiem nie ukryło. Wszystko widziała, wszystkie policzyła, wszystkie pamięta. Ta pamięć jest rzeczą straszną, albowiem w nieskończoność mękę przedłuża. A jaki on podstępny! Przecież niedawno, chcąc uwieść małą

Kallisto, która Artemidzie ślubowała czystość, wziął na się postać samej Artemidy i w ten sposób wkradł się do łoża nimfy. Przybiera wszystkie kształty i każdy zakątek ziemi napelnia swą pożądliwością. Taki jest teraz i taki był od pierwszego dnia...

Zdarzało się, że do niej powracał. Pamiętna pierwszych uśmiechów miłości, była mu powolna. Ramiona jego miały dla niej zawsze urok nieprzeparty, a gdy o tym pomyśli, wstyd ją zalewa gorącą falą.

Raz już porzuciła Olimp. Poszła na ziemię i zamieszkała na Eubei, pełnej rżenia koni, które tam wypasają się w stadach niezliczonych. Ta wyspa była jej szczególnie droga, albowiem na niej przeżyła najpiękniejsze dni swego małżeństwa. Dzeus szukał jej wszędzie na próżno. I w nim odżyły dawne wspomnienia. Pragnął jej coraz silniej. Nareszcie dowiedział się, gdzie jest. Nie przyszedł od razu. Chciał jeszcze bardziej podniecić jej zazdrość. Ogłosił, że wstępuje w nowe związki małżeńskie i że ślub odbędzie się na Eubei. Jakoż przyjechał z wielką świtą bogów, otoczony blaskami piorunów. Na wielkiej, zielonej równinie ustawili się goście weselni, a w pośrodku czekała śliczniutka nimfa w stroju panny młodej. Hera patrzyła na to z ukrycia. Gdy jednak Dzeus zbliżył się do tamtej, aby ją wziąć za rękę, wybiegła i jak burza rzuciła się na swoją rywalkę. Jakże się śmiała potem, widząc, że był to po prostu manekin! I jakich cudnych kilka dni przeżyła z Dzeusem na tej boskiej ziemi eubejskiej!

Ale to już minęło. To nigdy nie wróci. I czemu tak jest? Przecież nie jest brzydsza od innych, przecież i ku niej garną się pożądliwe oczy obcych mężczyzn? Iksjon, wpleciony w koło, cierpi wieczystą karę w Tar tarze za to, że śmiał jej pragnąć. Endymion, najpiękniejszy ze śmiertelnych, wolał sen wieczny, niż życie pozbawione jej białora- miennych uścisków...

Głos Hery stawał się coraz cichszy! Chloris ledwo słyszała jej słowa, wilgotne od łez. Lecz królowa nieba nie pozwalała płynąć łzom zbyt długo: na białe czoło wróciła jej dawna duma i świetliste członki podniósł olimpijski majestat.

Myślała o zemście. Nie o takiej, którą by każda inna wybrała. Nigdy nie otworzy swych ramion dla żadnego boga ni herosa. Skrupulatna w rzeczach hierarchii niebieskiej, nie może poza tym ubliżyć swemu stanowisku patronki małżeństw; wywarłoby to jak najgorszy wpływ na mieszkańców ziemi, gdzie i bez tego nienajlepiej się dzieje. Prawie tak, jak w niebie!...

Tu westchnęła i jęła myśl swą rozwijać: Dzeus bez niej urodził Atenę, ona też chce mieć dziecko bez Dzeusa. Jeśli jej ziemia nie da potrzebnych środków, pójdzie do Tartaru szukać ziół tajemniczych lub słów nieodpartych.

Chloris milczała. W jej wonnej duszyczce odbywała się walka. Bo właśnie ona mogłaby zaspokoić pragnienie Hery, właśnie ona, taka

mała, niepozorna, taka nic nie znacząca bogini kwiatów. Tylko że bardzo boi się Dzeusa. Raz jeden go widziała i to jej wystarczy na całą nieśmiertelność. Serce jej bije na samą myśl o strasliwym gniewie pana piorunów.

Hera przejrzała jej wahanie. Zaklęła się tedy na Styks, że święcie dochowa tajemnicy. Słyszając, że mowa o Styksie, Iryda rozwinęła skrzydła, gotowa lecieć ze złotym kubkiem po wodę piekielnej rzeki. Chloris ją wstrzymała. Nie trzeba. Wystarczy samo zaklęcie bez uroczystej libacji z czarnej wody. Zna, w istocie, takie ziele, a nawet rośnie ono w jej ogrodach, przeniesione z dalekich stron, cudowne, tajemnicze, potężne. Nikt o nim nie wie, bo ten, co jej dał, już nie żyje. Nikomu by nie dała, lecz Herze odmówić nie podobna.

Poszły. Chloris z daleka pokazała jej kwiat, barwy szafranu, wyrastający z podwójnej łodygi.

-- Widzisz, to ten. A korzeń jego jest jak kawałek świeżego mięsa, z którego spływa czarny sok.

Po czym przystąpiła i drżącą ręką zerwała ziele. Wtedy ziemia zatrzęsa się pod nią i jęknęła. Chloris, bielsza od swej białej szaty, haftowanej gwiazdkami, podawała Herze kwiat, trzymając go bojaźliwie w dwóch palcach.

∴-- Wystarczy dotknąć się tylko, wiesz, gdzie...

I odwróciła oczy w chwili, gdy Hera odwiązywała pas, spinający jej peplos. Podziękowała i odeszła. Wróciła jeszcze. Bo czy to aby pewne? Chloris pokazała jej kwiat, leżący na ziemi: był zwiędły i nieżywy. Nie ma wątpliwości. Sama go zresztą wypróbowała: nie na sobie, oczywiście, lecz na młodej jałówce. Skutek był natychmiastowy.

Chloris mówiła prawdę. Już w drodze Hera „poczuła się matką”. A gdy nadszedł wiadomy czas, ku zdumieniu wszystkich, przyleciała na Olimp wieść nieprawdopodobna: że w górach dzikiej Tracji Hera urodziła nowego boga, Aresa. Wszystkie boginie zawołały: „Nareszcie r, a Dzeus przestał się dziwić, że w oazie Ammona stawiają wizerunki jego z rogami na czole.

## W SIECI

W ów najcudniejszy ze wszystkich dni świata, kiedy z piany morskiej, zapłodnionej krwawymi szczątkami Uranosa, wyszła „rozkosz bogów i ludzi”, złota Afrodyta, i zasiadła w kole oczarowanych jej obecnością Olimpijczyków -- w ów dzień samotne serce Hefajstosa utraciło swój spokój. Tegoż jeszcze wieczora prosił Dzeusa o jej rękę. Odmówiono mu, przekładano, tłumaczono. Wszystko na próżno. Użył najwymyślniejszych podstępów, aby ją zdobyć.

Oczywiście, wiedział, jaką żonę bierze. I wiedziała Afrodyta, jakie-

go męża wyznaczyła jej niecofniona wola Dzeusa. Całym jego życiem była praca. Świat przesłaniały mu dymy, unoszące się spod miechów jego kuźni. Bywał rzadko na przyjęciach olimpijskich i od koncertu Muz wolał rytmiczny stuk młotów swoich poczciwych cyklopów. Nie sądził, żeby małżeństwo mogło w czymkolwiek zmienić ten wspaniały tryb życia. A jednocześnie nie mógł żądać, aby Afrodyta wyrzekła się świata i w czeluściach góry ognistej pozwoliła gasnąć swym młodym wdziękcom.

Wieczorem, po skończonej robocie, przychodził do swego pałacu na Olimpie. Odpinał fartuch skórzany, kąpał się i ubierał w swobodniejsze szaty, a zasiadłszy do stołu, patrzył z podziwem na tę boginię, która była jego żoną, a jednak jakąś istotą obcą, daleką, budzącą pożądanie i bojaźń. Hefajstos bał się Afrodyty i bał się samego siebie. Duszę miał gorącą jak ogień, którego był panem. Wiedząc, że jest brzydki i kaleka -- był kulawy na obie nogi -- unikał miłości i jednocześnie łaknął jej, jak żaden z bogów. Pamiętał ów dzień, kiedy nagle, ujrawszy przezczystą dziewicę Atenę, taką zapłonął namiętnością, że począł ją gonić. Nogi jego, zwykle tak nieposłuszne, niosły go jak skrzydła Hermesa. Schwycił ją wreszcie i nie byłby się cofnął przed gwałtem, gdyby mu się nie wyrwała. Poniósł tak haniebną porażkę, że odtąd unikał spojrzenia bogiń, nimf i kobiet ziemskich. Gorzał jednak. Raz jakaś nimfa weszła do jego kuźni. Nie patrzył na nią, lecz uczył jej podniecającą obecność. Kuł swój kawał żelaza z wściekłością. Wówczas jedna iskra wyskoczyła spod młota Hefajstowego, a dotknąwszy łona nimfy, obudziła w niej rozkosz, a wraz z nią nowe życie.

Myślał o tym kulawy Duch Ognia, patrząc w milczeniu na siedzącą naprzeciw niego żonę. Wszystko wydawało mu się w niej dziwne i niesamowite. Złote włosy przysypane błękitnym pudrem, oczy fiołkowe, szyja biała i drgająca, piersi ukryte pod przezroczystą tkaniną, całe to ciało wonne i gorące, otulone w materii barwne, miękkie, nieomal złudne jak sen. Nawet te wszystkie klejnoty misterne, które sam przecież wykonał -- posiadały dlań urok niedosiężnej tajemnicy. Mówiła, śmiała się, piła nektar, a on nigdy nie umiał odgadnąć właściwego znaczenia jej słów i uśmiechów. Miała jakiś swój świat zupełnie odrębny, do którego drogi on nie znał.

Kochał ją bez pamięci i czuł jakby upokorzenie w tej miłości. Unikał jej, całymi miesiącami przesiadywał w kuźni lub na ulubionej wyspie Lemnos i znowu wracał, aby wprost z zabobonną trwogą dotknąć bodaj wstążki, którą ściągała swe włosy. I wiedział, że go zdradza. Na jej wiecznie wilgotnych wargach czuł gorączkę cudzych pocałunków. Idąc za spojrzeniem jej oczu, utkwionych w swawolnych groteskach pułapu, chciał pochwycić zarys jakichś drogich jej widm, których, jak mu się zdawało, szukały jej roztargnione wspomnienia. Afrodyta czuła na sobie ten straszny wzrok pana płomiennych gór

i jej pogodna dusza zapadała w mrok zwątpień. Nie wiedziała dokładnie, jak się ma zachować. Nigdy z nią o tym nie mówił. Na swój sposób rozumiała, co by jej mógł powiedzieć: chce, niewątpliwie, aby wszystko czyniła w tajemnicy; dumny jest i świadomość, że inni widzą jego wstyd, musi być dlań bolesną. Ale jakże tu cokolwiek ukryć, gdy pełno wszędzie oczu ciekawych? Spod kory drzewa patrzą ciemne ślepia Hamadriady, Najada o włosach zielonych szpieguje spoza sitowi rzecznych, za każdym załomem góry siedzi Nimfa lub Satyr, a wśród kwiatów i traw łąki utajone są drobne Lejmoniady, kochanki koników polnych.

Nie wiedziała, co począć, i przyszło jej na myśl, że najbezpieczniej będzie we własnym domu. Stoi on trochę na uboczu od ulicy wielkich pałaców olimpijskich i można doń wejść niepostrzeżenie. Służbę wyprawi się pod lada pozorem, a Charytki są wierne. Zresztą wybierze się taki dzień, gdy mąż będzie daleko. To wszystko powiedziała swojemu kochankowi.

A kochankiem jej był wówczas Ares, bóg wojny. Jakież on piękny, jaki wspaniały, jaki silny! Wprawdzie... raz wsadzili go dwaj zbóje do beczki i bez Hermesa nie byłby się wydostał... Atena go zawsze pokona, choć dziewczica... niedobrze pachnie, bo wciąż siedzi w tych górach trackich, gdzie ludzie chodzą w kozuchach... jest hałaśliwy, samochwał, umie mówić tylko o wojnie... no, tak, ale jest za to taki miły w wielu, wielu innych rzeczach. Myśli się o nim z rozkosznym wyciąganiem ramion.

Zaczęło się to u nich jakby przypadkiem. Znali się od tak dawna, a nie zwracali na siebie uwagi. Aż raz pod murami Troi... Diomedes, brutalny bohater grecki, zranił Panią Cypryjską w rękę i Ares odwiózł omdlałą na Olimp. I drugi raz -- na tej samej równinie trojańskiej... Pod żyłastą dłonią Ateny oboje legli w prochu, napojonym krwią wojowników. Gdy się ocknęli, spojrzeli na siebie z sympatią. Na drugi dzień Ares odwiedził chorą kuzynkę i przyniósł jej podarki, które zostały wdzięcznie przyjęte. Ujął ją swoją prostotą. Nie umiała by znaleźć odpowiedzi, gdyby ją zapytał, dlaczego się opiera. Nie opierała się zatem.

Zdawało się Afrodycie, że tym razem wszystko tak chytrze urządziła, iż nikt się nawet nie domyśli. Spotkali się cichaczem w opuszczonej alkowie Hefajstosa. W istocie nikt ich nie widział. Jeden tylko bóg, ten, co wszystko widzi, bóg-słońce, Helios. Przejeżdżając na swym wozie ognistym nad pałacem Hefajstosa, dojrzał przez górne okna Afrodytę i Aresa splecionych uściskiem. Jakoś go to dziwnie ubodło. Nigdy nie roznosił plotek, choć niejedno mógłby powiedzieć, aż teraz, nagle, zdjęła go taka niechęć do tych dwojga zabawiających się miłością, że wieczorem, ledwo wyprzągnął konie, pobiegł do kulawego kowala i całą rzecz mu wyjawiał.

Hefajstos nie ozwał się ani słowem. Patrzył, jak wolno zamykały się drzwi za promiennym bogiem, który odchodził trochę urażony. Cykloptom kazał iść precz i sam został w kuźni. Wziął kawał żelaza i kuł. Szczywał młotem czerwone wicherki płonącego metalu i wyciągał go w coraz cieńszy drut. Pracował tak bardzo długo. Skończył dopiero nazajutrz, około południa. Wtedy poszedł do swego pałacu. Obejrzał alkowę. Była pusta. Afrodyta po rannej kąpieli wyjechała gdzieś na swym wozie zaprzężonym w gołębie. Wrócił do kuźni i przyniósł z sobą to, co przez noc nagotował. Były to siatki druciane, tak cieniuchne, że wprost niedostrzegalne. Porozpinał je wszystkie dokoła 6łupów podtrzymujących 6óżko i na belkach pułapu. Przyjrzał się im teraz i skinał głową. Był zadowolony. Nikt tej „pajęczyny” nie dostrzeże. Wychodząc powiedział służbie, że wyjeżdża na Lemnos. Kiedy wróci – nie wiadomo. Może za miesiąc, może wcześniej.

Afrodyta ucieszyła się z odjazdu męża. Posłała jedną z Charyt, aby uprzedzić Aresa. Pod wiecz6r usłyszała w sieniach znajomy chrz6st zbroi. Przywitali się, ale nie mówili z sobą zbyt wiele. Nigdy nie mieli sobie w6aściwie nic do powiedzenia. Pocałunki i pieszczoty zastępowaly im słowa. Wrychle zapadli w rozkoszną nicość. Gdy się ocknęli, spostrzegli, że nie mogą się poruszać: coś jakby ich więzi i razem skuwa. To była w6aśnie ta siatka. W chwili gdy świat przestał dla nich istnieć, zdradliwe druciki oploty dokoła ca6ą 6oźnicę i tak trzymały.

Nie rozumieli, co się stało, i ta nieświadomość powiększała jeszcze ich trwogę. Wtem otworzyły się drzwi spiżem okute i na progu zjawił się Hefajstos. Wydawał się być czarnym od gniewu i z6ości. A jednocześnie w kącikach jego gorejących oczu tulił się prawie figlarny uśmieszek. Patrzył na nich, a to spojrzenie paliło jak ogień. Widomie paś się ich 6ękiem. Afrodyta niedobrze znała swego męża. Nigdy nie wiedziała, jak się zachowa ani co przedsięweźmie ten skryty kobold. Przemknęło jej tylko przez myśl, że może to będzie tak jak z owym krzesłem Hery: podarował Hefajstos matce ozdobne krzesło, a kiedy na nim usiadła, coś ją zwi6azało i musiała tak trwać ca6ymi dniami, aż kowalowi podobało się uwolnić ją z tego śmiesznego więzienia. On jednak postąpił inaczej. Zaczął krzyczeć i zwołał wszystkich bogów Olimpu. Boginie zostały w domu. Pałac Hefajstosa zapełnił się ambrozyskim tłumem. Chwilę patrzyli wszyscy w zdumieniu. Po czym śmiech okrutny uderzył o sklepienie niebios. Takiego widowiska nikt im jeszcze nie wyprawił. Oto bowiem potężny, straszliwy, niepowstrzymany, nieustraszony, jak pożoga niszczący ludobójca Ares leżał bezsilny, niby dziecko w powijakach, a obok – jego z6oćista kochanka, cała różowa od wstydu, który jej nagość czynił jeszcze bardziej nagą. W gromadzie bogów latały szepty i śmiechy. W nogach 6oźka stali Apollo i Hermes. Obaj patrzyli jakby z pewnym wzruszeniem. Nagle Apollo zwrócił się do szybkonogiego syna Mai:

-- Powiedz -- rzeki prawie głośno -- czy chciałbyś iak dobrowolnie, związany, leżeć u boku Pani Cypryjskiej?

-- Choćby i zarazi I niech trzykroć mocniejsze będą pęta i niech patrzą na to wszyscy bogowie i wszystkie boginie!

W słowach jego było tak szczere uniesienie, że bogów ogarnął znowu śmiech słodki. Jeden Posejdon się nie śmiał. Kiedy się uciszono, przystąpił do Hefajstosa i prosił, żeby zakończyć tę niemiłą zabawę. Hefajstos, który dotąd milczał, zaczął mówić. Wylatywały zeń słowa jak płomienie. Skarżył się, a zdawało się, że grozi.

Kulawy jest, brzydki, wstrętny. A ma żonę najcudniejszą. Nikt nie wie, jaka ona piękna. On jeden wie. To nie to -- te tam wdzięki rozebrane, to ciało jędrne a soczyste. Są inne jeszcze rzeczy. On wie. Ale gdzie ona zawsze? Tam gdzie młodość, gdzie smukłe i giętkie ciała, gdzie ten cały świat hałaśliwy, opromieniony słońcem. Tam jej życie, nie tu. A on co? Pośmiewisko. Kulawy. Zasmolony kowal. Nikt się z nim nie liczy. Nie można go kochać, a nie warto szanować. Patrzcie! Nawet domu jego nie uszanowano. A przecież dom każdy, nawet najlichszego człowieka, stoi pod czystym błogosławieństwem Hestil. Ale to już koniec. Tak dalej być nie może. Odeśle ją tam, skąd ją wziął. Tylko mu wpierv Dzeus odda, co za nią dał we wianie. Tyle a tyle. A i Ares mu winien haracz za cudzołóstwo. Nie puści tego ślicznego gacha, póki mu wszystkiego nie spłaci.

Szarpał się, trząsał pięściami, krzyczał. Wreszcie skończył, a słowa jego, zanim ucichły, długo jeszcze obijały się głuchym pomrukiem po ścianach. Posejdon wśród ogólnego milczenia swą prośbę ponowił. Hefajstos jakby wsiąkł w siebie, zgarbił się, zmałał i powlókł się na swych chwiejnych nogach w stronę łóżka. Drżącymi rękoma poodpinał druty.

Ares, jak był nagi, uciekł w swoje góry trackie, Afrodyta zaś czmychnęła na Cypr, do Pafos, gdzie ją Charyty wykapały, namaściły, ubrały w szaty strojne, że wyglądała tak cudnie, jak owego dnia, kiedy pienisty uśmiech morza oddał ją ukwieconej ziemi cypryjskiej.

## ROMANS Z BYKIEM

W kole dworek siedzi dobra królowa Pazyfae, której imię oznacza: wszystkim świecąca. Gwarno tam i wesoło. Mówi się o mających nastąpić walkach byków, które król Minos wrychle wyprawi. Właśnie jeden z jego dowódców wrócił zwycięzcą z dalekich stron i przywiódł z sobą sporo niewolnika. Jakiś lud dziwny, barbarzyński, mówiący niezrozumiałym językiem. Młodzieńcy i dziewczęta kształtów cudnych, o włosach jasnych i oczach niebieskich. Wybrano z nich najpiękniejszych i teraz, pod nadzorem królewskiego mistrza igrzysk, ćwiczą ich

w sztuce walczenia z rozjuszonym zwierzęciem. Wymaga to wielkiej siły, gibkości ciała i zręczności ruchów. Trzeba w biegu skoczyć na grzbiet byka i zatknąć mu na karku ostry dzi ryt. Mówią, że jedna szczególnie dziewczyna okazuje do tych igrzysk ochotę, a tak zwinna jest i cudna, że nadworny rzeźbiarz uczyni z niej na pewno piękną statuetkę. Królowa Pazyfae chciałaby ją mieć, małą, z kości słoniowej, w momencie, gdy dziewczyna, trzymając za rogi byka, niesie się z nim razem po całej arenie.

Dworki jakoś dziwnie patrzą, opowiadając o urodzie tej barbarzyńskiej dziewczyny. Królowa Pazyfae widzi to, rozumie i uśmiecha się nieznacznie. Jest aż nadto pewna swojego Minosa. O., nie zawsze tak było! Wszak niedawno temu „słodka dziewczeczka”, Britomartis, ulubienica chyżonogiej Artemidy, uciekając przed niegodną miłością króla, rzuciła się do morza. I wtedy to po raz pierwszy, a może i ostatni, królowa Pazyfae użyła swej siły czarodziejskiej, która jest jej wspólna z całym rodem Heliosa – siły, tak bardzo użytecznej jej siostrzenicy, Medeji, z nieznaną a dalekiej Kolchidy. Królowa Pazyfae zaczarowała króla Minosa. Zrobiła to i to, wymówiła te i te zaklęcia, spaliła takie a takie zioła – i oto czar się spełnił: król Minos nie mógł mieć stosunku miłosnego z żadną obcą kobietą. Ilekroć bowiem tego próbował wychodziły zeń gady paskudne, węże, skorpiony, które dostawszy się do łona niewiasty, śmierć sprowadzały. Tak uczyniła zazdrosna małżonka. Odtąd ona jedna będzie mu kochanką i żoną, ona jedna rodzić mu będzie dzieci, które oby wszystkie były tak piękne, jak owa jej córka, śliczna Ariadnę.

Królowa Pazyfae szczyści się swym wielkim pochodzeniem od promienistego boga słońca. W tej chwili nawet, patrząc na gasnące blaski, które idą aż do jej komnat od ojcowskiego rydwanu, myśli z dumą, że niewiele pań tej ziemi może się pochlubić takim rodzicem. I nie wie, że teraz właśnie jak najmniej jest godna zazdrości. Albowiem nad Heliosesem wisi gniew Afrodyty. Oczywiście, nikt prócz Dzeusa, nie dosięgnie ognistego boga. Ale na ziemi są jego dzieci, na których zemstę swą wyrzecz można.

Królowa Pazyfae jest pod gniewem wielkiej bogini. Za winę ojca, który zbyt gorliwie bronił czci małżeńskiej Hefajstosa, karę ponieść córka. Jest to sprawiedliwe i rozsądne. A kara będzie sroga i wielce wymyślna. Jutro z rana, -kiedy wyjdzie Pazyfae ze swej malowanej łazienki i przybrana we wszystkie dostojeństwo swemu należne stroje, uda się do gaju świętego, spotka na drodze swej miłość tak niesamowitą, że późnym pokoleniom za dziw służyć będzie, a na ród swój cały ściągnie osławę...

W cienistych dolinach lasem porosłej Idy -kreteńskiej pasły się mnogie stada królewskie. Wśród nich był jeden byk biały, osobliwej urody, dar Posejdona. Między rogami miał czarną łatkę, zresztą biały był jak



mleko. Krówki z całej okolicy marzyły o tym, by bodaj przez chwil kilka dzierżyć go na grzbiecie. Minos powiadał, że takiego byka nie ma na całej ziemi. Chyba ten był taki, w którego Dzeus przemieniony porwał Europę.

Pazyfae знаła tego byka i często gładziła jego kark lśniący. Owego zaś dnia, wyszedłszy rano z malowanej łazienki, ujrzała go jak gdyby po raz pierwszy w życiu. Piękny się jej wydał nad wyraz wszelki. Piękny nie jako byk, nie jako zwierzę, ale jak człowiek piękny, jak piękny mężczyzna. I owładnęło ją niepojęte uczucie: pragnęła zostać kochanką byka! Wybiegła z komnaty, nie zważając, że jest w rannym stroju. Zapomniała o świętym gaju, o swoich dworach, biegła, by zwierzyć się ze swej miłości. Byk obrócił na nią swe duże, jasne oczy, po czym poszedł dalej. Królowa wydała rozkaz, aby odtąd wypędzano go na paszę osobno: zazdrosna była o każdą jałówkę.

Całe dni spędzała przy byku. Nie widziały jej panny dworskie i dziwiły się, skąd u królowej nagle takie zamiłowania bukoliczne. Poczęło się to nawet zmieniać w modę i wielkie damy kreteńskie błądziły po polach, niosąc wiązanki świeżej trawy. Naśladowały w tym królową Pazyfae, która swymi białymi, wypieszczonymi rękoma sama ścinała dla ukochanego byka młodzieńskie gałązki i zioła wyborne.

Ale działy się i rzeczy gorsze. Królowa, taka zawsze pobożna, zobojętniała nagle dla rzeczy świętych. Nie widziano jej na uroczystościach religijnych, a jej własna kapliczka, w której co dzień składała ofiary Wielkiej Matce, pani gór i ostępów leśnych, dobrej władczyni lwów -- stała pusta, nowym nie majona kwieciami.

I jeszcze gorsze. Bo porzuciła nie tylko obowiązki królowej, ale i żony. Minos ze zdziwieniem i przykrością zastał zamknięte przejście z jego komnat do apartamentów królowej. Byk zwyciężył w jej sercu Minosa!

Co dzień raniutko wstawała królowa Pazyfae. Kąpała się w ciepłej wodzie, zaprawionej wonnościami, włosy splatała w warkoczyki, wdziewała swe najpiękniejsze suknie z różnokolorowymi fałbankami, stan ścisnęła gorsetem i z piersiami według mody pałacowej odsłoniętymi (a piersi miała cudne), w zgrabnym kapelusiku na głowie, szła do swego kochanka. Jeszcze po drodze wyjmowała zwierciadło, poprawiała fryzurę, zmieniała układ klejnotów -- tak, jakby jej kochanek umiał to wszystko ocenić. W płyciutkich pantofelkach po górach chodziła i wieczorem wracała znużona, z pokrwawionymi nogami, w sukni tak poszarpanej, że ją którejś z dziewcząt kuchennych oddawać musiała. Zamykała się, nikogo nie chciała widzieć, a jeśli wezwała służbę, to chyba po to, aby kazać zabić taką a taką jałówkę -- natychmiast! Skołatana zazdrością i nie zaspokojonym pragnieniem, zasypiała snem ciężkim, pełnym widzeń i marzeń płonnych. Nikt jej nie umiał poradzić, aby pojechała do Achai: tam jest cudowna rzeka Selemnos i trzeba się

tylko wykapać w jej wodach, żeby zapomnieć wszystkich tęsknot i cierpień miłosnych.

Nie widząc znikąd ratunku, postanowiła zwierzyć się jedynemu człowiekowi, który mógł jej pomóc. Poszła do Dedala, Ateńczyka, który był Lionardem da Vinci na dworze króla Minosa. Wiadomo, że wszystko potrafi: i rzeźbić cudownie, i wodociągi naprawiać, i kanały budować, a jak się później okazało, nawet latać w powietrzu. Pazyfae wyznała mu swoje strapienie. Z początku nie wiedział, po co mu to mówi. Królowa obiecywała złoto, groziła karą, ale nie określiła wyraźnie, czego żąda. Na koniec dała mu do zrozumienia, że jej kochanek chciałby mieć złudzenie, iż ona jest jałówką. Więc może coś sztucznego, jakaś maszyna... Dedal skinął głową i zaraz wziął się do roboty.

W kilka dni wszystko było gotowe. Mistrz wystrugał z drzewa bardzo udatną krowę i przykrył ją skórą tak umiejętnie, że najchytrzejszy byk nie mógłby zwierzyć podstęp. Wnętrze było wydrążone, puste. Pazyfae weszła po schodkach i tam się ukryła. Krowę wyniesiono na łąkę i sprowadzono byka. Najstraszliwsze pragnienie, jakie kiedykolwiek szarpało wnętrzościami kobiety<sup>^</sup>- zostało zaspokojone. Przez drewniany pysk udanej jałówki dobywały się dzikie wrzaski obłąkanej rozkoszy...

Co stało się z bykiem, nie wiadomo. Pazyfae zaś w zwykłym czasie urodziła potwora: miał głowę byka, resztę ciała ludzką. Nazywano go Minotaurem. Nieokiełzany był i krwi człowieczej chciwy. Zabił go Tezeusz, młody bohater ateński. Pazyfae kazał Minos uwięzić. W smutku i goryczy umarła córka boga słońca.

#### AMFITRION

Królowa Alkmena była bardzo piękna. Miała oczy jak bławat niebieskie, ciemne, a jednocześnie skrzące się osobliwymi błyskami, jak dwa jeziora, w których toną migotliwe odbicia gwiazd. Poeci sławili jej smukłe nogi i cnotę niezłomną:

A serce takie czestne miała i tak wierna Dla męża -- jako w kwiatach stojąca cysterna.

Dumnym mógł być jej mąż Amfitrion, z którym w Tebach beockich żyła na wygnaniu. Porzucił ją często dla wojny: myślał tylko o pomocy na swych wrogach, przed którymi z kraju ustąpił.

Wtedy Alkmena zostawała sama. Siedziała przy krosnach w kole swych służek, śpiewała wraz z nimi, słuchała starych klechd lub sama opowiadała, a wówczas one, odłożywszy robotę, słuchały. Kiedy indziej, przykucnąwszy na ziemi, rzucała kości, znajdując w tej grze nie tylko rozrywkę, lecz i wróżbę rychłego powrotu męża. Wieczorem szła do

swej alkowy smutna bardzo i przed zaśnięciem wzywała imienia Amfitriona.

Taką ujrzął ją Dzeus i pokochał. Jeśli można mitografom wierzyć, była to ostatnia niewiasta śmiertelna, którą Dzeus kochał. A widząc jej czystość i cnotę poznał, że ani deszcz złoty nie napelni jej wiernego łona, ani zdradliwy łabędź nie zdoła się wśliznąć poza przepaskę, którą jeden Amfitrion miał prawo zdejmować. Zgodził się tedy wziąć na się postać ubóstwianego małżonka.

Nigdy, w żadnym jeszcze przebraniu nie czuł się tak źle i nieswojo. Nie wiedział, czy dobrze odegra swą rolę i czy nie zdradzi się jakimś ruchem, obcym Amfitrionowi. Długo z wysokości Olimpu przypatrywał się zajętemu wojną bohaterowi i przed lustrem naśladował jego wzięcie. Wreszcie odważył się zejść na ziemię. Miało się już pod wieczór, gdy stanął w ciemnej sieni dworu. Towarzyszył mu Hermes, przebrany za giermka Amfitrionowego.

Pląkała z radości na widok męża stęskniona Alkmena. Całowała go po oczach, tuliła się doń, rozpytywała. Dze.us-Amfitrion wyjął z zanadru jakiś puchar złoty, grzebień cudnie w kości słoniowej rzezany, naszyjnik z pereł -- niby ze zdobyczy wojennej, a widząc, że niewiasta bierze go istotnie za męża, zaczął rozpowiadać, jak Telebojów gromił, czego dokonał i jak stawał dzielnie. Na zalęknione pytania Alkmeny, czy aby nie ranny, musiał zdjąć szaty i pokazywać każdą część ciała z osobna...

Już gwiazdy pobladyły, gdy Dzeus-Amfitrion stanął nad Hermesem, który spał w sieniach, i wydał mu jakieś rozkazy tajemnicze. Hermes zrzuciwszy z siebie postać ludzką, rozpostarł skrzydełka u nóg i odleciał. Zaś ojciec bogów i ludzi wrócił do łóża Alkmeny.

A gdy ta wspaniała niewiasta powierzała swe wdzięki promienne udanemu małżonkowi, na ostatnich krańcach ziemi na rubieży dnia i nocy, taka się wiodła rozmowa między posłańcem bogów Hermesem a Heliose, dawcą światłości:

HERMES Heliosiel Dzeus Tozkazuje, żebyś dziś, jutro i pojutrze w domu został i nie wyjeżdżał. Przez cały ten czas ma trwać jedna długa noc. Niech więc Hory wyprzęgną tve konie: masz zgasić swoje pochodnie i możesz sobie po tylu trudach raz przecie wypocząć.

HELIOS Zupełnie to nowy i niesłychany rozkaz, Hermesie. Nie popełniłem żadnej omyłki w swej drodze ani koni nie puściłem na manowce, żeby się mógł na mnie gniewać i robić noc trzy razy dłuższą niż dzień?

HERMES Nic podobnego. Nie ma tak być zawsze: tylko tym Ta- zem potrzebuje trochę dłuższej nocy.

HELIOS Gdzież on jest teraz? Skąd cię do mnie posyła?

HERMES Z Beocji, jest z żoną Amfitriona, którą kocha.

HELIOS A do tego nie wystarczy mu jednej nocy?!

HERMES Nie. Ma z tego być wielki wojowniczy bóg, a takiego nie można zrobić w jedną noc.

HELIOS Szczęść boże tej dzielnej pracy! Ale -- tak, między nami mówiąc, Hermesie -- podobne rzeczy nie działy się za czasów Kronosa. Ten nigdy nie wymykał się z łoża Rei i nie porzucał nieba, aby w Tebach noc spędzać. Dzień był dniem, a noc zawsze tak długa, jak tego wymagała pora roku. Nie działo się nic wbrew przepisom i zwyczajom. Nigdy Kronos nie zadawał się z żadną śmiertelniczką. A teraz przez jakąś przeklętą kukłę cały porządek wywraca się do góry nogami: konie po takiej długiej beczynności będą do niczego, droga od trzech dni nie ujeżdżana zepsuje się. Oto, do czego prowadzą miłostki Dzeusa! Biedne ludziska muszą po ciemku siedzieć i czekać, aż ten wielki atleta, którego nam zapowiadasz, gotów będzie.

HERMES Cicho, Heliosie! Takie słowa mogą ci tylko na złe wyjść. Idę stąd do Selene i do Hypnosa, aby im również zanieść rozkazy Dzeusa: bogini księżycy ma ruszyć w podróż, a tamten niech ludzi nie odstępuje, aby się nikt nie spostrzegł, że noc trwa tak długo.

Wreszcie jednak ta noc się skończyła. Dzeus odszedł na Olimp. Tymczasem i Amfitrion, prawdziwy Amfitrion, wrócił do domu. Zdziwił się, że go żona nie wita z taką radością, jakiej się spodziewał. Ale niedługo się nad tym zastanawiał, wszedł w łóżko żony i tam do rana zabawił, taka bowiem była jego miłosna udreka.

Nazajutrz oboje byli zdumieni. Dziwiła się Alkmena, skąd u Amfitriona takie nieugaszone upały miłosne, zbyt wielkie, nawet gdy się zważy długą rozłąkę. Dziwił się Amfitrion, skąd u żony takie wyczerpanie i pewna oziębłość, a już całkiem nie rozumiał, dlaczego każde opowiadanie przerywała przy pierwszych słowach: -- Wiem, wiem -- mówiła. -- Po cóż to powtarzasz. Przecież już wczoraj opowiedziałeś mi wszystko. I wtedy poznał, że jest w tym jakaś sprawa boża. I to samo poznała Alkmena, która już w swym łonie nosiła Heraklesa.

#### TRZYNASTA PRACA HERAKLESA

Zdarzyło się raz pewnego podczas igrzysk olimpijskich, że kiedy nikt nie chciał stanąć przeciw Heraklesowi, zjawił się mąż jakiś nieznanany, rosły jak dąb i oświadczył, że gotów jest zmierzyć się z potężnym boha

terem. Walka trwała długo, aż do zachodu słońca, i Herakles nie mógł pokonać tajemniczego przeciwnika. Wyglądało -zaś tak, jakby i tamten się dziwił, że syn Alkmeny mu nie uległ. Rozpletli w końcu ramiona, którymi swe ciała niby powrozami związali, i stanąwszy naprzeciw siebie, podali sobie ręce -- jak równy równemu..

-- Ktoś ty? -- zapytał Herakles.

--\* Jam jest Dzeus, król bogów i ludzi, a tyś mój syn umiłowany.

Herakles okazał się godnym swego niebieskiego ojca. O ileż jednak bardziej dumnym musiał być Dzeus, gdy go wrychle potem wieść doszła o niebywałym czynie Heraklesa, czynie, jakim on sam -- najdostojniejszy kochanek wszystkich nimf i pięknych śmiertelniczek -- poszczycić się nie mógł.

A zdarzyło się to w domu Tespiosa. Ów Tespios pochodził ze świętych Aten, był człowiekiem zamożnym i ojcem pięćdziesięciu córek. Nikt mi nie weźmie za złe, jeśli pominę imiona owych dziewic, których wyliczenie sprawiało kłopot nawet najskrupulatniejszym mitografom starożytnym. Prawdopodobnie sam ojciec mylił się często w tym względzie.

Stary Tespios miał jedno tylko życzenie: doczekać się dziarskich wnuków z tego żeńskiego potomstwa. Ilekroć zaś o tym myślał, w marzeniach zjawiała się przed nim wspaniała postać bohatera nad bohater, syna błękitnookiej Alkmeny, tego, co dzika erymanckiego uniósł na barkach i lwu paszczę rozdarł, tego, co idąc po zakurzonych drogach, wśród miast i wsi, tępił potwory i kobiety boskim nasieniem zapładniał.

Czekał tedy stary Tespios chwili, kiedy bohater z maczugą wkroczy na jego pola. I doczekał. Przyszedł Herakles, poprzedzony rozgłosną sławą, która już wówczas dokoła jego młodej głowy wiła się wieńcem złocistym.

Był to radosny dzień w domu Tespiosa! Kolumny pałacu przybrano girlandami zieleni i kwiatów rozmaitych, marmurowe płyty podłogi do czysta wymyto i również przetrząśnięto kwieciami, w sali biesiadnej zapalono w naczyniach spizowych najwonnejsze kadzidła, a przed dom, w miejscu, gdzie stał ołtarz Dzeusa, wypędzono co najtęższe woły na ofiarę.

Dokoła ojca, starca z białą jak mleko brodą, ustawiły się niby wachlarz rozwinięty jego panny córki: każda z nich miała na dygocącym z niepokoju ciałku chiton śnieżnej białości, a na to już jak tam która rozumiała -- peplos lub himation, wszystko barwne, haftowane, wzorzyste, tak że idącemu z oddali Heraklesowi wydawały się niby pstre kwiaty gęsto obok siebie posadzone na grządce albo na falach wodospadu kilkakrotnie powtarzająca się tęcza.

Serce bohatera wezbrało radością i szczęściem.

Powitano się w imię boże i przystąpiono do ofiar. Raz wraz pod nieomylnym ciosem sługi padały woły, napelniając powietrze rykiem, który raduje bogów wiecznie żyjących. Za czym poćwiartowano bydłęta, najlepsze części odniesiono do kuchni na ucztę, a resztę spalono na ołtarzu. Czarny, gryzący dym podnosił się ku niebu prostym, wysokim słupem, świadcząc, że ofiara ta jest bogom szczególnie miła.

Po kąpieli Herakles, namaszczony miękkimi dłońmi córek Tespiosa, które mu służyły z radosną pokorą -- legł na łożu biesiadnym i przyjął od gospodarza wielki dwuuszny puchar, spowity w gałązki bluszczu. Pił. Nie mieszał, jak inni, ciemnej krwi winnej latorośli z wodą czerpaną z chłodnych źródeł -- pił czyste wino, jakie zwykło się dawać tylko bogom w ofierze. A nie zapominał i o jedzeniu. Co chwila zmieniano przed nim talerze, dokładano mu najwyborniejszych kąsków, podlewano zacnymi sosami -- o taki żołądek Hydrobójcy nie zadowalał się zwykłym posiłkiem śmiertelnych. Mięso, ryby, drób, owoce, sery, ciasta -- wszystko razem zniknęło poza przegrodą jego białych zębów, aż królowny ogarnęło lekliwe zdumienie. A kiedy już odeszła wszystkim ochota do jadła, Herakles zatrzymał przy sobie stągiew starego wina, które zwano „mlekiem Afrodyty" -- bo było złote jak miód i słodkie, i wonne -- i pił, zagryzając ciecior ką.

Weszli teraz do sali fletniści, ustawili się pod ścianami, a wszystkie panny, niby dziewice delijskie, podjęły pieśń. Pochwaliły najpierw Apollina o barkach złocistych i Artemidę rozmiłowaną w swych strzałach, co lecały chyżo jak myśl. Za czym wspomniały dawnych wojów i niewiasty z dalekiej przeszłości, a śpiewając ten hymn, śpiewały wielkość i chwałę rodu ludzkiego, którego Herakles był najświetniejszą ozdobą. Umiały naśladować głosy wszystkich ludów, a słuchającemu zdawało się, że słyszy jeden głos, tak zgodne było ich śpiewanie.

Po czym służba wyniosła stoły, aby uczynić wolne miejsce tańcom. I nie zjawily się płatne taneczniczki, lecz same królowny różową bielą swych stóp dotykały chłodnych kamieni posadzki. W szatach tak przejrzystych, że zdawały się utkane z mgły rannej, obracały się z wolna, to znów szybciej, trzymając się za ręce, - czasem z nagłą rozrywały luskli- wy łańcuch splecionych dłoni i tańczyły każda z osobna, a wówczas ciała ich drgały jakby nie w takt owych fletni, lecz na rozkaz nieznannej, a słodszej niż jakakolwiek ziemskiej melodii. Albowiem Taniec jest dzieckiem Miłości.

Pochodnie, zatknięte na ścianach, pogasły. Fletniści ukryli się gdzieś w dalszych pokojach, a przez uchylone drzwi sączyła się ich muzyka cicha i pełna tęsknoty. Goście biesiadni znikli. Korowód tancerek rozwiął się niby mgłą, przykryta czarnym płaszczem nocy. Została tylko jedna, której białe ciało zdawało się srebrzyste

w jasnych promieniach Selene, pędzącej swe ciemne rumaki gdzieś w głębi milczących przestworzy. I ta jedna w coraz szybszych obrotach tańca, zbliżała się ku łożu bohatera, póki nie zapadła w jego rozwarte ramiona, jak gwiazda z nieba lecąca w czarną otchłań morza.

Ledwo ją uściskał -- już mu się wymknęła i znikła, tak nagle, jakby się rozplynęła w tę smugę srebrnego światła, która, nie wiadomo dokąd wiodącą ścieżką, biegła po marmurowych płytach podłogi. Nie, nie znikła. Bo oto znów wyrosła niby lilia biała, z podniesionymi w górę ramionami, i znów wiła się w tańcu, którego treści nikt nie wypowie -- ona, srebrny puchar pełen czerwonego jak krew nektaru rozkoszy. I znów szła w jego objęcia.

Ale czyż to pod uroczym spojrzeniem Selene, tajemniczej pani dziwów nocnych, spełniają się czary? Wszak przed chwilą słyszał jej krzyk dziewczęcy, a w tym nowym uścisku czuje to samo nieświadome, niespokojne, trwożne drżenie dziewicy, która dotąd nie знаła miłości. I znów odeszła, i znów wróciła -- dziewicą...

Długo, bardzo długo trwała ta noc niesamowita. Kto wie, czy i tym razem ojciec bogów i ludzi nie nakazał Heliosowi opóźnić codziennej wędrówki słonecznego rydwanu -7- tym razem nie dla siebie, lecz dla umiłowanego syna. I nie wiedział Herakles, że to nie były czary, ale zacy podstęp Tespiosa, który chciał mieć jak najwięcej latorośli z boskiego szczepu Heraklesa. A nie darmo dziś rano zabijał woły na ofiarę. Bo oto modlitwa jego wysłuchana. Od łoża bohatera każda z jego córek odchodziła niosąc w swym świeżo dla miłości rozkwitłym łonie zapowiedź szczęśliwego macierzyństwa.

Herakles spał, gdy koło południa w sali biesiadnej, teraz napełnionej złotym pyłem słońca, stanęły przy jego łożu córki starego Tespiosa. Z wdzięcznym podziwem patrzyły na jego nagie ciemne ciało; ramiona do konarów dębu podobne, piersi jak dwa puklerze z brązu, uda niby dwa pnie jakiegoś królewskiego drzewa. I nie było w nim znużenia ani wyczerpania, lecz sen, słodki sen, zesłany przez owego skrzydlatego Hypnosa, który teraz gdzieś może siedząc wśród sosen góry Idaj- skiej -- marzy o najmłodszej z Chary tek, cudnej Pasitei, będącej tęsknotą wszystkich jego dni...

## SYN DRZEWA

Myrra

Na Cyprze panował król Kinyras. W jego cudzoziemskim nazwisku brzmiało echo fletni. Był bardzo bogaty. W czasach, kiedy imię Krezusa nie było jeszcze znane na świecie, mówiono powszechnie: „bogaty jak Kinyras". Był on twórcą cywilizacji cypryjskiej. Lud swój nauczył wydobywać z rudy cenne metale, sporządził na miejsce dawnych nowe, zręczne narzędzia, a domy swoich poddanych pokrył dachówkami. Bogacąc kraj, bogacił samego siebie. Urósł razem z potęgą własnego

państwa. Żył lat sto sześćdziesiąt i pochowano go w Pafos, w świątyni Afrodyty.

Król Kinyras był bardzo piękny. W żyłach jego płynęła ambrozyjska krew Apollina. Miał żonę, która się zwała Kenchreis, i córkę, śliczniutką Myrrę. Jedną mu tylko została z wielu, które mu odebrał gniew Hery. Albowiem królowny chwaliły się, że urodą dorównują małżonce Dzeusa. Wtedy zazdrosna bogini zamieniła je w kamienne stopnie, prowadzące do jej świątyni. Ilekroć szedł tamtędy Kinyras, zdawało mu się, że słyszy cichutki jęk dzieci, deptanych ostrożną stopą ojca.

A ostatnia jego córka, Myrra, była jeszcze od siostr piękniejsza. Wszyscy się nią zachwycali, najwięcej zaś matka, która jakby zapomniała o okrutnym losie swych córek. Bo oto mówiła wszystkim, którzy tylko słuchać chcieli, że Myrra jest równie piękna jak Afrodyta, a włosy ma bardziej cudne niż włosy bogini. Powtarzała to tak często, że łagodnie uśmiechnięta Pani Cypryjska wyciągnęła nad niewinną głową małej Myrry dłoń swego straszliwego gniewu.

O piękną dziedziczkę wielkiej fortuny ubiegała się cała młodzież rycerska z Cypru i okolicy. Kinyras wydawał uczyty, pachnące winem i ambrą. Ale Myrra nie chciała nikomu oddać swej ręki. Mówili tedy rodzice, że jeszcze mała: niech podrośnie.

W dziewczynie, stojącej pod gniewem Afrodyty, rozwijało się straszliwe uczucie -- kochała własnego ojca. Nie jak córka, ale jak kobieta. Gdy ją raz zapytał, czemu nie przyjmie żadnego z zalotników -- milczała. I spod zarumienionego czoła patrzyła nań błyszczącymi oczyma. A gdy ją jeszcze zapytał, jakiego by najbardziej chciała męża, szepnęła cichutko:

-- Który by był do ciebie, ojczy, podobny.

Uśmiechnął się, pochwalił, włosy pogładził, pocałował. Nie spostrzegł, że w chwili, gdy usta jego dotknęły jej czoła, dziewczęce ciało córki zadygotało niesamowitym dreszczem.

Zaczęły się teraz noce bezsenne i walki wewnętrzne. Myrra cierpiała. Wszyscy widzieli jej bladłość, a nikt nie odgadywał przyczyny. Na matkę patrzyła okropnie. Zaciskała usta, by jej nie krzyknąć naj- wścieklejszych przekleństw, jakie rozpięły jej drżące piersi. Nikt tego nie widział.

Z dniem każdym przygaszał świeży blask jej oczu. Wśród dnia białego chodziła, jak we śnie. W nocy smagała umęczoną duszę wyrzutami, strachem i tęsknotą. Z łoża wstawała, bo się jej zdało nabite cierniami. I wtedy poznała, że żyć tak nie może. Płomienia żądy swej nie ugasi i on strawi ją powoli, bezlitośnie. Śmierć zatem. Rękoma sennymi zdjęła przepaskę, uczyniła z niej pętlę, podsunęła stołek pod ścianę -- i w tej chwili stanęła w drzwiach wierna piastunka.

Posłyszała szmer przesuwanych sprzętów i myśląc, że dziecko nie śpi, przyszła ukołysać bajką. Przestraszyła się, widząc stołek, pętlę,



wymęczoną twarz Myrry. Dziewczyna szlochając rzuciła się ku niej. Opowiedziała jej wszystko. Stara niańka wysłuchała, rozebrała ją sama i ułożyła do snu, jak za dawnych lat, a wychodząc, rzekła: „Życ będziesz”. I spojrzała w taki sposób, że Myrra po raz pierwszy od wielu, wielu nocy usnęła cicho i spokojnie. Śniła się jej łąka, na której Eros zbierał kwiaty.

Przez dni następne patrzyła w oczy piastunce, a wzrok jej pytał: „Cóż?” Stara odpowiadała jej spojrzeniem, które mówiło: „Czekaj”. Aż pewnej nocy weszła do jej pokoju i powiedziała: „Chodź!” Szła przez znajome pokoje i korytarze, czując, że gdyby nie stara, nie umiałyby wśród nich znaleźć drogi.

Komnata ojca. Kinyras leżał w zupełnym mroku, a w pokoju unosił się zapach wina. Matki w domu nie było. Niańka wzięła Myrrę za rękę, drżącą i ślaniającą się z trwogi i bliskiej rozkoszy, podprowadziła do łoża, a zwracając się do Kinyrasa, rzekła: - ■-- Oto dziewczyna, o której ci mówiłam.

Stara zamknęła za sobą drzwi spiżowe, a Myrra weszła do łoża ojca. Czując jej lęk dziewiczy, pieścił ją, tulił, uciszał. Mówił do niej: córko. Biorąc w swe serce wezbrane jego dobroć, jego słodkie a łagodne pieszczoty, szeptała wśród łez: ojczu. Dwanaście nocy z rzędu przychodziła i wymykała się niepostrzeżenie, zanim czarna bogini ustąpiła przed złotymi strzałami słońca.

Kinyras nie znał ani jej rysów, ani imienia. Aż trzynastej nocy skrzesał nagle ognia... Gdy iskry utonęły w ciemności, głowę i serce jego ogarnął mrok, od nocy czarniejszy. A potem ujrzała nad sobą Myrra srebrny błysk miecza. Żelazo zgrzytnęło o ścianę. Spiżowe drzwi zawarły się z łoskotem. Myrra uciekała, jakby ją goniły Erynie o włosach węzowych...

Suchy żwir arabskiej pustyni rani jej białe nogi. Pragnienie pali wnętrzności, a głód szarpie jak ptak drapieżny. Oczy, oślepięte blaskiem skwaru słonecznego, gonią złudne majaki po żółtej, bezkresnej przestrzeni. Nie umiałyby powiedzieć, skąd się tu wzięła, jak przepłynęła morze, jak uniknęła pościgu, czym żyła dotychczas. Nie pamięta nic. Pamięta tylko owych nocy dwanaście i tę trzynastą, i błysk ojcowego miecza. Potem nic. Teraz pustynia. I śmierć. Oby ją bogowie zesłali! Bogowie, którzy dają szczęście za cenę cierpienia. Nie myślała o bogach. A przecież oni są i mogą położyć kres jej męce.

Jakoż spełnili jej prośbę: zamienili ją w drzewo. Myrra żyła dalej pod twardą korą drzewa. Łzy jej płynęły wonnymi strugami myrry, a łkanie jej słychać było w poruszanych wiatrem gałęziach. Równocześnie rosło w owym drzewie dziecko, poczęte z kazirodznych uścisków. Pień drzewa pęczniał nad miarę. Sęp, przelatujący tamtędy, powiedział do siedzącego na drzewie feniksa:

-- Zdaje mi się, jasny panie, że to drzewo jest ciężarne.

Feniks nie odrzekł nic, bo nie miał zwyczaju rozmawiać z ptakami nie ze swojej sfery, ale w duchu uznał słusność uwagi, i odleciał. Drzewo-Myrra ciepiało, a nie miało ust, aby wezwać pomocy Ejlejtji, dobrotliwej bogini porodów. Nareszcie w jedenastym miesiącu pień jego pękł z hałasem, który wszystkie ptaki zatrwożył, i na świat przyszedł cudny chłopiec -- Adonis.

## Adonis

Adonisa znalazły Nimfy. Karmiły go, pieściły, chowały. Uczyły go mówić i opowiadały mu bajki. Nie mając żadnej wiedzy o życiu, mówiły o tym, czego nie ma, czego nigdy na świecie nie było. O cudownym urodzeniu jego mówiły, lecz nie wspomniały o matce, aby nie ranić delikatnej duszyczki chłopca. Adonis rósł wśród nich i stawał się z każdym dniem piękniejszy. Nimfy były zdania, że jest tak piękny jak Helios, a potwierdził to skowronek, który co rano zagląda w twarz słońcu.

Nocą widział Adonis, jak Nimfy ulegały Satyrom, i myślał, że muszą cierpieć, albowiem jedne z nich płakały, drugie wołały „mamo”, a i te, co zachowywały milczenie, miały w oczach łzy. Mówiono mu, że to miłość, ale jego zajmowały inne rzeczy. Chodził po lesie i gonił zwierzęta w kniei. Oszczepem przesywał dzika, uderzeniem pięści walił z nóg niedźwiedzia, kopał doły na lwy, które potem zabijał. To były jego ulubione igraszki. Nimfy widywały go teraz rzadko i nieśmiało zbliżały się do jaskini, w której mieszkał wielki myśliwy. Niejedna marzyła o jego ustach, ale żadna nie miała odwagi wyznać mu swej miłości.

Takim go zobaczyła i pokochała Afrodyta. Kochając, pragnęła być kochaną. Wsiadła na rydwan zaprzężony w- trzepotliwe wróble i pojechała na Cypr. W wonnym sanktuarium pafijskiej świątyni wykapały ją Charyty, natarły szafranowymi olejkami, ujęły złote włosy w węzeł, który związały purpurową przepaską, leciutkim cieniem podkreśliły brwi, karminem podniosły przyrodzoną czerwień warg wilgotnych, uróżowiły końce piersi, ubrały ją w szaty cieniutkie, wzorzyste, pachnące i ustroiły klejnotami.

Wróciwszy do Arabii, odesłała Afrodyta swój rydwan, a sama, ze skromnie spuszczonej oczyma, szła przez las, jak panna z dobrego domu, kiedy odbywa przechadzkę, sługi swe zostawiwszy w tyle. Tak właśnie stanęła przed Adonidem. Młodzieniec patrzył na nią w nabożnym podziwieniu. Powitał ją wyciągniętym ramieniem i przemówił: Niewątpliwie jest bóstwem. Nie widział nigdy prawdziwej bogini, ale tak właśnie bogini powinna wyglądać. Zjawia mu się zapewne dlatego, że jej czoł należy nie oddaje. W istocie, w tych lasach

człowiek żyje bezbożnie. Ale on się poprawi. Dziś jeszcze na górze, na miejscu zewsząd widocznym, zbuduje jej ołtarz, gdzie będzie składał ofiary każdego czasu i wielbił ją tym imieniem, jakie mu sama objawić raczy. Ona mu w zamian za to da łowy obfite i dziryt jego uczyni niechybnym.

Nie leżało w zamiarach Afrodyty, aby jej Adonis aż tyle czci okazywał. Przeciwnie, pragnęła go jak najbardziej ośmielić. Na słowa jego odparła skromnie, że zbyt wielki to dla niej i niebezpieczny zaszczyt równać się z bogami. Proszą ona śmiertelniczką, której, co prawda, Pani Cypryjska dała nieco urody, ale czymże jest ona wobec piękności Adonisa! I podchodząc bliżej, jęła go gładzić po włosach, mówiąc, że są jak fiołki leśne, i po twarzy, która się jej wydała słoneczną, i o ustach jego mówiła, że muszą być słodkie. Dał jej tedy spróbować i to był ich pierwszy pocałunek.

Wprowadził ją do groty, gdzie stało jego łóżko, zasłane skórami lwów, które sam upolował na szczytach gór wysokich. Przez uchylony peplos dojrzał białosc jej ciała, gdy zaś podniosła ramię, zmieszał go widok jej pachy, mrocznej i puszystej jak święta grota arkadyjska. Zdjął jej naszyjnik, naramiennice, szpilki wydlubał z włosów, że rozsypały się potokiem złota, zwłókl z niej szaty świetliste i widział, że piersi jej są jak podwójne odbicie księżyca w jasnej toni jeziora. Tylko przepaski pod piersiami nie dała sobie zdjąć Afrodyta, czarodziejskiej przepaski, w której zamknięte są wszystkie tajemnice jej uroków. Adonis jednak myślał, że to ze wstydlivosti, aby nie być zupełnie nagą. Zaczął ją tedy całować, mówiąc słowa uspokajające, których sam dobrze nie rozumiał. Po czym ona odchyliła głowę, zakryła twarz ramieniem i oddała mu się. Inny może by zauważył, że okazała w tym pewne doświadczenie. Kiedy się już nasycili miłością i gdy uczucia ich stały się wyrażalne w słowach, Afrodyta, ucałowawszy go mocno, powiedziała, kim jest. Ale Adonis już spał, gdyż poprzedniej nocy zasadzał się na lwy.

Kochali się tedy. Adonis przyjął miłość bogini z pokorą i był rad, że nie musi już stawiać ołtarza: nie znał się na tym. Ale kochanie mu nie wystarczało. Nie uważał za właściwe przerywać swych błahych zajęć i dalej ścigał zwierzynę. Gdy wracał, Afrodyta witała go przed jaskinią i podziwiała zdobycz. Myliła się czasem w nazwach zwierząt i kochanek patrzył na nią z lekceważeniem. Gdy go próbowała dłużej zatrzymać przy sobie, dziwił się, że Dzeus pozwala, by tak wielka bogini nie troszczyła się zupełnie o swoje sprawy i nie miała określonej pracy.

Ona zaś kochała go coraz więcej. Każda chwila bez Adonisa była dla niej stracona. Powiedziała mu raz, że odtąd będzie mu towarzyszyć w łowach. Nie sądził, aby mogła mu być pomocna. Ale Adonis dawał się łatwo przekonać. Nimfy nauczyły go tylko niewielkiej ilości

słów, Ipo same nie umiały więcej. Afrodyta zaś mogła mówić bardzo długo, nie zatrzymując się wcale, i to wzbudzało w nim podziw, a czasami wprowadzało jego głowę w zamęt, który nie był rozkoszny. Pani Cypryjska kazała Erosowi przynieść króciutką szatę, na wzór tej, jaką nosi Artemida, i włożywszy na nogi wysoko sznurowane trzewiki o grubych podeszwach, wzięła w rękę lekki oszczep i stanęła u boku Adonisa. Podobała mu się w tym przebraniu bardzo i wrzosa były świadkami jego zachwyty.

Chodzili więc razem po górach i lasach i Afrodyta starała się odwracać uwagę kochanka od nienawistnych jej łowów. Z początku zżymał się, ale w końcu ulegał, bo umiała opowiadać rzeczy naprawdę ciekawe. Raz na przykład w nocy pokazała mu gwiazdozbiór Orionu i wyłożyła całą historię tego myśliwca, w którym się kochała bogini jutrzeńki. A że niedaleko stąd była kraina Nyza, poszli zobaczyć, jak się w tajemnicy przed Herą chowa mały Dionizos, Ukryli się w krzakach i widzieli młodzieńczego boga, jak stał przytulony do jednego z Satyrów. Zdawał się zasłuchany i rozmarzony. Adonis długo pamiętał o tym spotkaniu, albowiem tam właśnie złapał żywą wiewiórkę.

Gdyby ktoś wówczas zapytał boginię, czy kochała przedtem kogokolwiek, odpowiedziałby przecząco. Nie pamiętała. Nie było "w tym jej winy, bo Adonis przesłonił jej sobą świat cały. A jednak powinna była pamiętać. Porzuciła bowiem Aresa i nawet nie zawiadomiła go o zmianie swych uczuć. Co prawda, mógł się domyślić, że po skandalu z tą siecią przestał dla niej istnieć. Ale takich rzeczy najtrudniej się domyślić. Ares na próżno szukał Afrodyty. Chciał jej wszystko jakoś wytłumaczyć, chciał ją przebłagać, jeśli się gniewała, i wspomnieniem doznanych rozkoszy rozpalić na nowo przygasły płomień miłości.

Znalazł ją, ujrzał z daleka, w towarzystwie Adonisa. Cała Tracja dzika, jego kraj ulubiony, zjeżyła się w jego gwałtownej duszy kolcami swych szczytów. Postanowił się zemścić. Zabije Adonisa. Nie w boju, lecz podstępem. Nigdy nie można być dostatecznie ostrożnym. Przedzierzgnął się tedy w dzika. Ogromny zwierz wypadł niespodzianie na odpoczywającego Adonisa i kłami rozszarpał jego cudne ciało.

"Afrodyta gdzieś nie opodał zbierała kwiaty na wieniec dla swego kochanka. Posłyszawszy krzyk, przybiegła. Adonis konał. Oczy jego pokryła noc ciemna. Ż rany płynęła struga krwi. Róże, które dotąd były białe, zmieniły swą barwę -- stały się czerwone. Ile krwi wypłynęło z Adonisa, tyle łez wylała Afrodyta. Z krwi wyrastały róże, a z łez bogini anemony. Działo się to w górach Libanu, skąd wypływała rzeka, nazwana później Adonis. Corocznie, w tym samym czasie, przybierała barwę krwi i to był znak, kiedy należy święcić Adonizje. Rozpacz Afrodyty była tak wielka, jak wielka była jej miłość.

Włosy złote obcięła i głowę posypała popiołem. Twarz i piersi krwawiły. rozdzierane paznokciami. Poplamione szaty opadały z niej w strzępach żalonych, ukazując świetliste ciało. Tarzała się w prochu i zawodziła głośnym szlochaniem. Odpowiadały jej dalekim wyciem psy Hekate, złowrogiej pani dróg rozstajnych.

I wtedy poszła do podziemia, jak Isztar, żądać wydania umiłowanego. Persefona nie usłuchała jej próśb -- sama pragnęła zatrzymać Adonisa. Afrodyta udała się ze skargą do Dzeusa. Stosownie do etykiety olimpijskiej, stanęła w podległości tronu i gładząc podbródek pana piorunów, prosiła. Dzeus rozstrzygnął, aby Adonis dwie trzecie roku bawił u swej niebieskiej kochanki, a jedną trzecią spędzał w podziemiu. Po domach greckich rozkwitały „ogródki Adonisa”, gdy z wiosną syn Myrry wracał na ziemię, a gdy późną jesienią otwierały się przed nim otchłanie smutnego królestwa cieniów, wychodziły w żałobie niewiasty babilońskie i szarpiąc włosy w rytualnej udęce, oplakiwały go, mówiąc, że odszedł:

Władca królestwa umarłych, pan wodnych komyszy, tamaryszka, która z bruzdy nie zaczerpnęła ni kropli wody, drzewko, nie zasadzone we właściwym miejscu, drzewko, którego korzenie wyrwano!

## Dzariadres

Afrodycie i Adonisowi urodził się syn, imieniem Dzariadres. Był tak piękny, że Grecy wybacжали mu nawet jego nazwisko, dla ich wrażliwych uszu nieco twarde i barbarzyńskie. Nie raziło ono nikogo w tych stepach nadkaspjskich, w których Dzariadres panował. Za sąsiada miał króla Omartesa, a ten znów miał śliczną córkę, Odatis. Wiadomo było powszechnie, że jest śliczna, choć jej nikt nigdy nie widział, bo, zwyczajem wschodnim, chowała się w surowym zamknięciu od świata. Dzariadres słyszał o niej często, ale nie myślał o niej więcej, niż o innych rzeczach.

Miał zresztą swoje sny. Zdarzało się bowiem, że co noc śnił o jakiejś cudnej dziewczynie. Nie miała ona żadnego nazwiska, mimo to była mu dobrze znajoma. Co noc zjawiała się, uśmiechała się do niego i wzięwszy za rękę, oprowadzała go po jakimś parku, w którym nigdy dotychczas nie był. Nie mówili ze sobą zbyt wiele. Tyle tylko, ile było konieczne. Czasem ona pokazywała mu jakiś kwiat, to znów on opowiadał jej zwyczaj zwierząt, które poznał na łowach. Woleli jednak milczeć i patrzeć, jak w stawie trzepocą się rybki.

Oboje wiedzieli, że w samym końcu parku jest jedno bardzo stare drzewo, do którego kiedyś pójść trzeba. Wybierali się tam zawsze, ale

jakoś nigdy dojść nie mogli. Zawsze im coś przeszkadzało i Dzariadres budził się u zakrętu ścieżki, prowadzącej w stronę drzewa. Gdy na nowo zasypiał, nie było już jego dziewczki, a sam drogi znaleźć nie umiał. Aż pewnej nocy, ledwo zasnął, ujrzał to drzewo, a pod nim siedziała o n a i kiwała nań palcem. Zbliżył się, a wtedy ona wstała i pochylając się ku niemu, powiedziała: „Kocham”.

Zdumiał się Dzariadres, usłyszawszy to słowo takie bliskie, a takie dalekie, słowo małe, kłopotliwe, niezaradne. Bo i cóż ono znaczy właściwie? Nie potrafił sobie z tego zdać sprawy, lecz natychmiast się zbudził, gdyż czuł, że za chwilę serce mu bić przestanie.

I znów następnej nocy spotkali się pod starym drzewem, ale nie mówili już nic, tylko wzięwszy się za ręce, patrzyli sobie w oczy. Odtąd nie chodzili więcej po parku, nie zważali na kwiaty ani na ptaki, a srebrne rybki ze stawu nie miały dla nich znaczenia. Trwali tak pod tym drzewem, gdzie opowiadali sobie tysiące rzeczy błahych, a nieskończenie drogich, i gdzie zamienili pocałunek, pierwszy i najświętszy. Rozstając się, powiedzieli, że tak już będzie zawsze.

Przez kilka nocy dusza Dzariadresa na próżno szukała wejścia do wyśnionego parku. Leżał przed nią tylko płowy ścieg, bez końca. Gdy nareszcie którejś nocy udało mu się odszukać zagubioną drogę, pobiegł jak mógł najprędzej, w ów koniec ogrodu, gdzie stało bardzo stare drzewo. Ona tam siedziała i płakała. Na widok jej łez ogamęło go niezmiernie wzruszenie. Nie mówił nic, tylko gładził jej włosy. Wtedy podniosła nań oczy duże, czarne, wilgotne, jak dwa winne grona, i rzekła:

-- Jestem Odatis, córka Omartesa. Płaczę, ponieważ mnie nie kochasz. Gdybyś mnie kochał, dawno już pokłoniłbyś się mojemu ojcu i prosił o mnie.

Wtedy poznał Dzariadres, że nie tylko on śnił, ale że tam, o kilkadziesiąt mil tego płowego ściegu, w scytyjskim zamku, tak samo śniła cudna Odatis, o której mu opowiadano. Nazajutrz posłał swatów. Król Omartes odmówił. Nic mu nie zarzucano, prócz tego, że był cudzoziemcem, a król, nie mając syna, nie chciał, aby dziedzictwo jego przeszło w obce ręce. Owszem, postanowił jak najrychlej znaleźć sobie zięcia spośród szlacheckich rodów własnego kraju.

Król Omartes zapowiedział wielką ucztę w pałacu i sprosił wszystkich swych książąt, mówiąc, że w tym dniu odprawia się zaręczyny jego córki. A gdy się już wszyscy zebrali i gęsto poczęły krążyć puchary, roznosząc wśród gości wesele, kazał przywołać córkę i tak do niej wobec wszystkich przemówił:

-- My tu, córko Odatis, odprawiamy twe zaślubiny. Rozejrzyj się tedy po wszystkich i przypatrz się każdemu z osobna, a potem weź złotą czarę, napełnij winem i podaj temu, kogo zechcesz na męża. I tego będziesz żoną.

Odatis nigdy jeszcze nie widziała tylu mężczyzn zebranych razem. Rozglądała się tedy z niepokojem, widząc dokoła siebie twarze czerwone i wąsate, olbrzymie bary, nakryte skórami dzikich zwierząt, ręce ogromne, ściskające wielkie puchary, pełne wina ciemnego. Jej spojrzenie przeleciało ponad tym tłumem, jak ptak zalękniony, nie znajdując nigdzie tego, o którym jej dusza śniła. I odeszła z płaczem, myśląc, że Dzariadres przestał dbać o nią, skoro nie zjawił się na jej wezwanie. Albowiem zawiadomiła go była o wszystkim.

A Dzariadres jechał właśnie. Przybywszy na miejsce, wóz ukrył w krzakach, a sam, ubrany w strój scytyjski, wszedł do sali biesiadnej. Nikt nań nie zwrócił uwagi, gdyż w tej chwili dwaj najsilniejsi z książąt zmagali się ze sobą. Przecisnął się przez tłum i stanął przy Odatis, która zalewając się łzami, napełniała winem złotą czarę. Patrzyła nań długo, jakby się chciała przekonać, czy to on naprawdę. Nagle krzyknęła i podała mu czarę, pełną wina. Nikt tego nie słyszał ani nie widział, bo właśnie jeden z dwu książąt zwałił się na ziemię, pociągając za sobą przeciwnika. Podniósł się pył z podłogi, a z trąconych stołów posypały się z brzękiem złote i srebrne naczynia. Dzariadres wyniósł na pół omdlałą Odatis. Domownicy widzieli to, ale nikt ich nie zdradził, tak bardzo wszyscy kochali królową.

Zbyt późno spostrzeżono porwanie. Gdy wściekły Omartes gotował się ruszyć w pogoń, kochankowie byli już bardzo daleko. Czuli się bezpieczni, więc przytuleni do siebie, jechali w swoją noc poprzez ciemne stopy.

--Ty drżysz? -- powiedział Dzariadres.

--Tak jak i ty.

--Az czego to?

--Ze szczęścia.

— Nie wiedziałem, że szczęście jest takie straszne...

## DZIWNA HISTORIA O BOŻKU PANIE

### Tajemnica Penelopy

Kiedy dusze pomordowanych przez Odyseusza zalotników zeszyły do Hadesu, obstały ich cienie bohaterów spod Troi i ciekawie rozpytywały, co było powodem, że tyle wyborowej młodzi w jednym dniu powiększyło żalodne zastępy króla podziemnego państwa. Wśród nich stał smutny Agamemnon, z raną na szyi zadaną ręką własnej żony, i słuchał dziwnej opowieści o bezprzykładnej wierności Odyseuszowej małżonki. W końcu westchnął, rzekąc:

Szczęśliwy synu Laerta, wielce obrotny Odysie, Wierę: pojąłeś niewiastę --'nieporównanej zacnotyl

Niezłomne serce żywiła udawa Penelopea Córka Ikaria -- tak długo wierliwą pamięć chowając Swojemu oblubieńcowi -- Nigdy nie zgaśnie jej sława, Wždy nieśmiertelni -- pieśniami po całej ziemi rozniosą Chwałbę radosną i szczytną roztropnej Penelopeil

Król królów prawdę mówił. Homer otoczył Penelopę aureolą nieprzemijającej chwały. Imię jej stało się symbolem, superlatywem wierności małżeńskiej. I to tym bardziej, że wierność jej nie wynikała z jakiejś przykrej konieczności. Albowiem była to jednocześnie kobieta pełna uroku. Poeta przyrównywał ją do Afrodyty o słodkim uśmiechu i do Artemidy o nogach wysmukłych. Widzimy ją pochyloną nad krosnami, na których tką ową szatę, jakiej nigdy skończyć nie miała i widzimy ją w tej wielkiej chwili, gdy wśród zalotników pojawia się, niosąc łuk Odyseusza -- dostojna, niedostępna, pożądana.

Mądra jest Penelopa, ma umysł szlachetny i prawy, serce dobre i mężne, a taka skromna, że niby młódka nieletnia do sali biesiadnej ze swych górnych komnat schodzi zawsze w towarzystwie służebnic i trzyma się z dala od tłumu gości. Odys uniósł ze sobą najdroższe o niej wspomnienie i łożę bogini nieśmiertelnej nie mogło w nim zgasnąć tęsknoty za ukochaną małżonką. A ona, jakby czas nie tylko nie ujmował jej wdzięków, lecz pomnażał je raczej, pomimo swych lat czterdziestu, promienieje taką urodą, że najprzedniejsza młodzież z okolicznych domów księżęcych o rękę jej i względy zabiega.

Penelopa nie słucha ani ich zaklęć, ani gróźb. Wierna jest mężowi -- może nie jemu samemu, lecz ich dawnej miłości i ceniom jego. Oplakała go bowiem (wszak już trawa porosła na miejscu, gdzie była Troja) -- nie spodziewa się jego powrotu, nie ma o nim żadnej wiarygodnej wieści, a przecież zwycięsko opiera się wszelkim pokusom, ogrzana jakąś iskierką prawie szalonej nadziei.

Ten portret idealny budził nieufność. Retorowie starożytni wygłaszali szumne „pochwały Penelopy”, a równocześnie historycy, mitografowie i poeci opracowujący stare legendy natrafiali na jakieś inne, nieśmiałe wzmianki, dające do zrozumienia, że nie wszystko było tak, jak to przedstawił Homer. Wielka, złocista struga poezji Homerowej przepłynęła nad mitem o Penelopie, pokryła wszystko swą wizją przepyszną, doskonałą i jak bezużyteczne śmiecie odrzuciła ze swego łożyska te znikome okruchy nieco odmiennej tradycji. Ponieważ jednak zostały one, pisarze późniejsi zaczęli się zastanawiać, dlaczego Homer z taką bezwzględnością stłumił wszystkie niekorzystne dla Penelopy podania i wydzwignął ją ponad nie jako idealny typ niewieści.

Rozbiegły się plotki po świecie literackim. Homer, ten stary, rzekomo ślepy pieśniarz, nie zawsze był taki stary, a na pewno nie był ślepy. Okazuje zbyt dokładną znajomość Itaki. Dziś jeszcze można



stwierdzić wierność jego opisu, albowiem góry zachowały ten sam zarys, zatoki i wgłębienia morza pozostały takie same, jak je opisał w „Odysei”. Homer był zatem na Itace, i nie krótko, lecz przez czas dość znaczny, aby wszystko dokładnie obejrzeć i spamiętać. Czy bawił tam tylko z prostej ciekawości? Kto wie!

I oto zrodziła się nie legenda, lecz jakby plotka, nieśmiałe podejrzenie, że Homer przebywał na dworze Odyseusza pod nieobecność Odyseusza. Jego głos dźwięczny, jego umysł harmonijny, jego pieśni ujęły stroskaną duszę Penelopy i był on może pierwszym, przy którym znalazła pociechę po tylu dniach samotności i opuszczenia. A gdy poeta odjeżdżał, uwoził ze sobą nie tylko wspomnienia cudnej kobiety, której ani łzy, ani lata nie mogły pozbawić uroku, lecz i zawiązek pieśni pochwalnej, z głębokiej wdzięczności poczętej za chwile słodkie i niezapomniane.

W taki sposób starali się zrozumieć Homera ci wszyscy, którzy nie bardzo wierzyli w niezłomną wierność małżonki króla-tułacza. Cze- mużby miała być inna niż wszystkie? Skąd jej się wzięła ta stałość, jakiej nie okazała żadna z żon bohaterów spod Troi? Nie posiadała jej ani Helena, ani Klitaimnestra, choć w żyłach ich płynęła ambrozyjska krew Dzeusa. Trudno zrozumieć, aby właśnie ona, córka Ikariosa...

Była zresztą krewną obu tych łatwych kobiet. Ojciec jej, Ikarios, był bratem króla Sparty, Tyndareosa, nominalnego ojca Heleny trojańskiej. Ikarios, wygnany z ojczyzny, schronił się do Etolii. Był wtedy jeszcze bardzo młody. Aby stłumić w sobie żal za domem rodzinnym, chodził po lasach i górach. Poznał tam pewną najadę, niebieskooką boginkę źródła. Nie potrzebował zbyt długo objaśniać nimfie swych uczuć; bóstwa wodne są pełne słodczy i nader pojętne. Zrozumiała wnet niebieskooka najada, czego od niej żąda piękny Ikarios, a że żądanie to nie wydało jej się godnym potępienia, otworzyła mu swe chłodne ramiona i powiła kolejno pięciu synów i jedną córkę, imieniem Penelopa. Ta miła boginka nazywała się podobno -- Periboja. Lecz nie należy temu zbyt ufać. Wiarygodni pisarze wymieniają jeszcze cztery inne nazwiska i niektórzy przyjmują je wszystkie, stwierdzając w ten sposób nadmierną płochosć i lekkomyślność Ikariosa, ojca Penelopy.

Ikarios poszedł ze Sparty na wygnanie sam, a wrócił z sześciorgiem dzieci. Matka czy też matki pozostały w Etolii, przywiązane do swych źródeł o wodach przejrzystych. Penelopa wyrosła na śliczną pannę. Ubiegających się było wielu. Ikarios cieszył się i był dumny ze swej córki. Wzorem dawnych bohaterów zapowiedział, że ten posiedzie jej rękę, kto zwycięży w biegu. Było to słuszne. Nie chciał, żeby córka boginki wodnej dostała się w ręce jakiegoś niezdary.

Do zawodów stanęła młodzież najprzedniejsza. Biegli. Trzykroć okrążyli wyznaczone pole. Błyskały w słońcu ich nagie, oliwą i potem lśniące ciała. U mety pierwszy stanął Odyseusz, syn Laertes, mądre

go króla Itaki. Odyseusz tak się tym ucieszył, że niezwłocznie ufundował piękną świątynkę Atenie, szczególniejszej swej orędownicze. Po czym z żoną wrócił do ojczyzny.

Stary ojciec rad był z synowej i oddał nowożeńcom pałac, a sam usunął się w zacisze wiejskiego domostwa. Za rok urodził się im chłopiec, którego nazwali Telemachem. Po skończonych pracach, pod wieczór, siadywał Odys pod rozłożystym platanem i patrzył, jak Penelopa, coraz piękniejsza, karmiła dzieciaka z piersi wezbranej. Było mu dobrze i cicho. Lecz pewnego dnia jawili się posłowie od króla Sparty Mene-laosa z żalobną i groźną wieścią: -- Helena porwana. Parys, królewicz trojański, winowajcą. Całemu narodowi greckiemu wymierzono policzek. Hellada się zbroi. Wojna. -- Zatrokał się Odyseusz i począł udawać wariata. Nie chciał iść na wojnę. Poznano się jednak wkrótce na jego podstępnie i zabrano. Porzucił młodzieńką żonę i nieletniego synka. Myślał, że niezadługo powróci. Nie wiedział, że nastąpi to dopiero za lat dwadzieścia.

A tymczasem Penelopa chowała małego Telemacha, śpiewając mu do snu dziwne pieśni o ojcu: jako jest najmądrzejszym z Achajów, jak na zgromadzeniu poskromił szpetnego Tersytesa, jak do Troi w poselstwie chodził, jak zdobył konie Rezosa. Z ostatnimi tonami pieśni rwały się wieści o królu Itaki i zacierał się z wolna jego drogi obraz. Lata mijały. Wracali bohaterowie spod Troi. O Odyseuszu słuch zaginął. Dom cały zaroił się od zalotników, młodych książąt ze skalistej Itaki, z Dulichionu, Samos i z lesistego Dzakynthos.

Patrzyła na nich Penelopa. Żaden z nich nie przypominał Odysa. Gdzież te jego barki rozłożyste, gdzie piersi jak dwa puklerze złożone, gdzie ramiona jak konary, gdzie uda niby pnie drzew, wbite w ziemię z taką mocą, jakby korzeniami wrosł. Zaiste, nikt się z nim nie mógł równać. Lecz przywykała do nich, poznawała ich zalety i po kilku miesiącach nie wydawali się jej tacy nędzni i śmieszni. Przecie musi przyjść czas, kiedy któregoś z nich weźmie za męża. O ile Odys przedtem nie wróci. Oczywiście...

Nawet Homer nie mógł ukryć, że wśród zalotników miała Penelopa swoje sympatie. Chętne ucho podawała na słowa Amfinomosa i Antinoosa. Homer mówi o tym bardzo oględnie, ale podobno nie należy mu ufać. I oto powoli zaczynają z Penelopy opadać wszystkie wzniosłe epitety, w jakie ją ubrał Homer -- jeden po drugim, tak że staje przed nami naga, nie przykryta, lecz raczej bardziej jeszcze odsłonięta zgoła nieoczekiwanym przezwiskiem: *§ a s s a r a*, bardzo nieprzystojnym i stąd nad wyraz trudnym do przetłumaczenia. O cóż ją posądzają? A więc Amfinomos, Antinoos... O, nie, znacznie więcej. Wszyscy! Jak to wszyscy? Tak, wszyscy zalotnicy, jeden po drugim, każdy z osobna i wszyscy razem. Co do jednego, jak ich było stu osiemnastu. Stu osiemnastu.

Trudne do wiary, a jednak nieomal prawdziwe. Nieomal tak prawdziwe, jak to, że pozostała czysta i wierna do końca. Tylko że nie poparte wielkim imieniem Homera, lecz jakimiś drobnymi imionkami poetów zapomnianych i wścibskich historyków. Kto wie, czy oni nie mówią prawdy. Pozbawieni rozległej twórczej wyobraźni, trzymali się mitów z bardziej niewolniczym posłuszeństwem.

Nowożytni uczeni nie mogli pozostawić takiego skandalu bez jakiegoś objaśnienia. I wymyślono rzecz bardzo chytrą, a wielce zawiłą. Oto Penelopa znaczy po grecku: kaczką. Nie jest to, oczywiście, zwyczajna kaczką, lecz symbol. Znaczą więc: bogini ziemi i księżyca. Jej 118 zalotników i ich słudzy, pomnożeni przez trzy -- dają liczbę dni roku księżycowego. Odyseusz zaś jest bogiem słońca, który swym słynnym strzałem, przesywając otwory dwunastu toporów, zwycięża zalotników, czyli w dwunastu miesiącach pochłania pełną ilość dni roku i wyzwala boginię ziemi, z którą potem znów łączy się w małżeńskim uścisku.

Dla mego umysłu jest to trudne do pojęcia. I mam wrażenie, że tak samo nie zrozumieliby tego wykrętnego objaśnienia ci zaci barbarzyńcy, którzy w młodej Grecji tworzyli mity. Nie przemawia mi również do przekonania inna próba obrony Penelopy: że mamy tu do czynienia z pomieszaniem imion -- a więc inna Penelopa była wierną małżonką, a inna... Nie, nie zależy mi na obronie czci Penelopy -- nie byłem na Itace, nie kochałem się w córce Ikariosa, więc śmiało mogę powiedzieć, co było potem. Potem urodził się syn Penelopy i tych wszystkich zalotników, albowiem bajka grecka nie zna granic nieprawdopodobieństwa.

Zabawnie wyglądał ten syn, płód hańby, istne pośmiewisko i kara boża. Z imienia znacie go dobrze ~ nazywał się Pan.

O, jakże obłądne są drogi legendy greckiej! Ledwo znaleźliśmy jakieś ziarenko prawdy -- zdawało się nam, że w sposób uczciwy sprostowaliśmy fałsz historyczny, gdy znów przychodzi nam zwątpić. Z wynotowanych fragmentów, pólówek, znalezionych u rozmaitych pisarzy, z poetyckich aluzji i z objaśniających epitetów rośnie w moich rękach materiał zgoła odmiennej legendy. W rozkosznym labiryncie mitologii greckiej otwiera się przede mną nowa, nieznana ścieżynka, która tym razem prowadzi nie do pałacu, lecz na pola, łąki, do lasu, do grotty skalnej. I znów staje przed nami to zagadkowe stworzenie, imieniem Penelopa, tym razem nie jako dojrzała niewiasta, lecz w krótkiej sukieneczynie, ledwo rozkwitła dziewczyna.

Było to jeszcze w czasach, kiedy Penelopa mieszkała w domu ojca swego, Ikariosa. Co dzień na błonia lakedemońskie wypędzała liczne stada kóz i owiec. Była ona płowa i niebieska, jak garść zboża zżęta sierpem, który razem z kłosa zbiera bławatki. Bosa, z rozwichrzonymi włosami, zaganiała swe ulubione stadko gęsi. Pasterze okoliczni

byli towarzyszami jej zabaw niewinnych, a śpiewu uczyły ją ptaki i zefir, szumiący w sitowiacz. I wtedy to, w jakiś dzień pany a burzliwy, w jakiejś grocie podgórskiej, «wpadł na nią zniecka kozioł wspaniały, potargał szaty, odsłaniając zakryte dotąd tajniki dziewczęce, i wziął ją, wpółmartwą -- nie wiadomo, czy z przerażenia, czy z rozkoszy. Albowiem Penelopa w tej chwili, jedynej w życiu, poznała, że napastnikiem był sam bóg Hermes.

Pan zachował wyraźne podobieństwo do swego ojca -- ale z owej nieszczęsnej metamorfozy. Miał rogi na głowie, krzywy nos, strzępiastą brodę, rozszczerzone kopytka koźle, do połowy ciała porosły był gęstą sierścią, a z tyłu zwisał mu ogon. Nie było powodu chwalić się takim potomstwem. Penelopa odjeżdżając z Odysusem pozostawiła kozło- noga w Lakonii, a mądry syn Laertes, nie znajdując w noc poślubną wszystkiego tak, jakby się spodziewał, nie śmiał pytać, bo każde pytanie tylko łyzy gorzkie wyciskało z oczu jego czcigodnej małżonki.

Pan jednak się uchował, a dowiedziawszy się o wszystkim, chciał koniecznie pomówić z ojcem. Nie było to rzeczą łatwą, bo Hermes nigdy nie miał czasu i nigdy nie było wiadomo, gdzie się właściwie znajduje.

Żaden z bogów nie miał tyle zajęcia, co Hermes. Już o świcie zamiatął na Olimpie salę biesiadną, układał poduszki w sali obrad, a ukończywszy swą ranną robotę czekał, aż się Dzeus przebudzi. Ledwo posłyszał mocne ziewnięcie syna Kronosa, biegł po rozkazy. I od tej chwili przez cały dzień biegał i latał, bo miał skrzydełka u nóg. Wracał zziębnięty, zdawał sprawę ze wszystkiego, co załatwił, i zaraz brał się do nakładania ambrozji na złote półmiski, z których jedzą szczęśliwi bogowie. Musiał mieć jeszcze czas, aby patronować ćwiczeniom gimnastycznym młodzieży i mówcom na zgromadzeniach dawać natchnienie. A i w nocy nie miał spokoju. W chwili, kiedy niebo i ziemia do snu się układały, on prowadził dusze zmarłych do podziemia i przy sądzie piekielnym pełnił obowiązki woźnego. Gdyby nie był bogiem nieśmiertelnym i wiecznie młodym, dawno opadłby z sił i umarł z wycieńczenia. Nie, Hermes nigdy nie miał czasu. Nawet na miłość, która u niego przybierała formy dorywczej namiętności.

Toteż niemało się zdziwił, gdy mu pewnego razu zastąpił drogę Pan, kozłonogi bożek pasterzy, i nazwał go ojcem. Patrząc na tę poczwarną postać, Hermes oburzył się: taki potworek może być tylko owocem zwierzęcej miłości; zrodziła go koza, ojcem był mu cap. Pan wiedział, że nie jest piękny, ale go zabolalo, że go się własny rodzic wypiera. Rzekł tedy:

-- Im bardziej się natrząsas nad swoim synem, tym mniej masz szacunku dla samego siebie, twórcy tych wdzięków. Nie moja wina, że jestem taki.

I przypomniał mu Penelopę, grotę i owego kozła. Hermes nie mógł zaprzeczyć. Rozejrzał się tedy wokoło, czy ich kto nie widzi i rzekł:

-- Wiesz, mój synu, coś ci powiem. Pójdź i uściśnij mnie. Ale proszę cię, nie nazywaj mnie ojcem, jeśli nas kto słyszeć może.

I odleciał.

Pan posmutniał. Był teraz sam na świecie. Matka odeszła od niego na zawsze, ojciec go się wyparł. I został tym, czym się nam dzisiaj przedstawia: duchem leśnym, wcieleniem dzikiej przyrody.

Przygo dy Pana

Pan był pasterzem arkadyjskim, koczownikiem, jak wszyscy pasterze, lato spędzał w górach, a na zimę przenosił się do Etiopii. Wstawał z brzaskiem dnia i wychodził na łowy, z których wracał około południa. Posiłał się, czym tam miał, i kładł się w cieniu drzew, przy źródle szemrzącym, i cały las, i pola, i wzgórze, i doliny wiedziały, że jest to „godzina Pana”, której ciszy nie godzi się naruszać ni graniem, ni śpiewaniem, ni jakimkolwiek hałasem. Pasterze bali się Pana. On sieje popłoch nieoczekiwany wśród trzód, on ciężką zmorą, jako demon południowy, spada na śpiących i członki ich przytłacza niemocą.

Pod wieczór Pan gra. Wkoło niego tańczą Nimfy na leśnej polanie. Ich szaty lekkie i liliowe ciała wydają się z daleka niby mgły białe, podnoszące się wśród czarnych pni drzew. Pan gra na syrindze. To jego ulubiony instrument: kilka kawałków trzciny, nierównej długości, w jeden rząd ułożonych i razem sklejonych woskiem. Prosta jest jego fletnia pasterska, lecz nie zamieniłby jej na złotostruną kitarę Apollina. Bo w syrindze Pana jest to, czego nie ma w Apollinowej kitarze -- serce.

Jakoż może być inaczej, skoro owa syringa była niegdyś dziewicą o słodkim głosie? Tak. Nazywała się właśnie Syrinks. Kozy pasła, z Nimfami się bawiła, śpiewała równie pięknie, jak dziś. Ujrzał ją Pan i pokochał. Nie wiedział, co ma czynić, co jej ma rzec, aby mu była wzajemna. Przyszedł więc i powiedział po prostu: że odtąd, za jego sprawą, kozy jej wydawać będą podwójne potomstwo. Domyśliła się Syrinks, dlaczego to mówi, i poczęła się śmiać. Piękny z niego kochanek: taka istota, co ani kozłem nie jest naprawdę, ani człowiekiem. Pan rozgniewał się i chciał ją wziąć siłą. Nieraz w ten sposób brał Nimfy, zaskoczone zniecka. Ale Syrinks uciekła. Słyszac za sobą wartki tętent nóg koźlich, skoczyła dziewczyna w sitowiem zarosłe grzęzawisko. Na próżno szukał, na próżno ścinał sitowie, chcąc widzieć gdzieby się ukryła. A kiedy stamtąd odchodził, zabrał naciętą trzcinę i z nierównych kawałków, jak nierówną była ich miłość, skleił narzędzie muzyczne, w którym odtąd zaliła się smutna dusza pięknej Syrinks.

Tę pierwszą syringę uciętą nad jeziorem Molpeja złożył Pan w poświęconej sobie grocie w Efezie. A grotka owa była efeska bocca delia verit&. Gdy zamknięto w niej dziewczę, natychmiast syringa sama z siebie wydawała tony przezyste i pieściwe, a po pewnym czasie wejście otwierało się, jakby pchnięte bożą mocą, i dziewczę wychodziła w radosne ramiona czekających, w wieńcu gałązek figowych. Jeżeli jednak nie była dziewczę, syringa milczała, a z głębi pieczary odzywały się jęki żalose...

Pan nie miał szczęścia w miłości. Kobiety, które kochał, uciekały od jego uścisków. Gonił więc chęże Nimfy po leśnych polanach, a nieraz ku oburzeniu pasterzy wyrządzał krzywdę ich kozom. Opowiadano, że jedna tylko bogini księżycy, Selene, znajdowała w nim upodobanie, i pokazywano groty, w której romantyczna kochanka wiecznie śpiącego Endymiona tuliła swą bladą twarz do kosmatej piersi syna Penelopy. Lecz wysoko postawione boginie mogą mieć rozmaite kaprysy, których nie podzielają ani skromne śmiertelniczki, ani te urocze boginki, Nimfami zwane. Jeden przykład z wielu: Echo.

Była ona córką pewnej Nimfy i nieznanego człowieka. Może pasterz jakiś, pędząc swe trzody koło dębu, w którym jej matka mieszkała, złączył się z Driadą w uścisku miłosnym, jak się to często zdarza między Nimfami i pasterzami. Echo była śliczną dziewczyną. Wychowywały ją Nimfy, a Muzy uczyły ją śpiewać i grać na syringach, na flecie, na lirze, na gitarze. Gdy wyrosła, zawodziła z Nimfami wspólne płasy i w chórze razem z Muzami śpiewała. Unikała zaś wszystkiego, co męskie: czy to był bóg, czy człowiek -- rozmyślała się bowiem w dziewictwie.

I znów się Pan zakochał, i znowu bez wzajemności. Szał go ogarnął. Dzień i noc szukał swej lubej, po górach, po lasach za nią chodził, naprzykrzał się jej, narażał się na drwiny i obelgi nieprzystojne bogu i cierpiał. Wtedy po raz pierwszy Hermes okazał mu tkliwość ojcowską: nauczył go, jak koić tęsknotę miłosną, nie zdradzając ukochanej, nie szukając zapomnienia w objęciach innej, lecz z obrazem jedynej pod znużonymi powiekami zapadać się w otchłań nie podzielanej rozkoszy.

Ale to mu nie wystarczało: chciał mieć ją samą, żywą -- ostrymi zębami gryźć jej różowe usta i swe kosmate nogi spleść z alabastro\* wymi kolumnkami jej ud. Widząc zaś, że to niemożliwe, uniósł się, zaślepił w swym gniewie i okolicznych pasterzy opętał szaleństwem: ci obłąkańcy, na podobieństwo psów lub wilków, rzucili się na biedną Echo w chwili, gdy nucąc piosnkę szła przez pole. Rozszarpali ją, a członki wciąż śpiewające roznieśli po całej ziemi.

I stał się cud. Matka Ziemia, Nimfom życzliwa, ukryła w swym łonie owe dźwięczne członki, które z woli Muz podjęły przerwana pieśń i naśladują, jak ongi ona sama, wszystkie głosy: bogów, ludzi, zwierząt, instrumentów. Pana też naśladuje Echo i jego granie na syringach.

A w takiej chwili Pan zrywa się, pędzi po górach i lasach, jakby szukał -- nie wiadomo, czy ukochanej dziewczeczki, czyli źródła głosu, który go przedrzeźnia. Niech nas bogowie strzegą spotkać go wtedy -- straszny jest, jak tylko straszny być może ten, kogo złe sumienie gryzie.

Podróż jest lekarstwem na miłość, podróż koi smutki i zgryzoty. Syn Penelopy ruszył w daleką wędrówkę. Z początku błąkał się rozpaczliwie, przenosząc się z miejsca na miejsce bez celu, uciekając przed światem, odwracając oczy od wszystkiego, co widział. Wszystko bowiem wydawało mu się złe i niepotrzebne. Na koniec zaciągnął się pod sztandary Dionizosa. Pił wino, grał przy ucztach na swej fletni cudownej, z mądrym Sylenem rozmawiał, od Bachantek brał pocałunki, pachnące winnymi gronami, i pijane uściski... W otoczeniu Satyrów był jakby jeden z nich, jakby ich dowódca -- kozłonogi bóg. Nie kochał się już więcej. Stał się pożądlivy i lubieżny. Młodych chłopców, pięknych pasterzy, ukrywających pod szorstkim odzieniem ciało jak miód, wabił ku sobie tajemnicą swej sztuki. Uczyl ich grać na syrindze i objawiał im przewrotny czar greckiej miłości.

Razu jednego -- a było to na wzgórzach Lidii -- ujrzał z daleka wspaniałą orszak. Królowa Omfala, w otoczeniu dworu i licznej służby, odbywała wycieczkę u boku swego towarzysza, kochanka i sługi, Heraklesa. Pan zapomniał o wszystkich boginkach leśnych i wodnych, o wszystkich Bachantkach i wszystkich Dafnisach. Patrzył na nią z ukrycia i nie zbliżał się, wiedząc, że widok jego postaci złym jest posłańcem jego uczuć. Czekał zmroku. Widział, jak całe towarzystwo rozłożyło się koło grotty górskiej, w której zastawiono ucztę dla Heraklesa i Omfali. Nie widział jednak, co się działo w głębi pieczary. A było tam na co patrzeć.

Omfala, przez niezrozumiałą przekorę niewieścią, zmieniała bohatera w kobietę. Herakles z woli bogów musiał jej być we wszystkim posłuszny. Zresztą leżało to w jego poczciwej naturze. Była w nim uległość człowieka nad miarę silnego, który wobec słabych jest słabszy niż dziecko. Omfala kazała mu się rozebrać i stanął przed nią ogromny, smagły, nagi, podobny do wielkiego posągu, kutego w twardej skale. Własnymi rękoma włożyła na jego męskie ciało chiton pieś- ciwy i miękki, potem pępos wzorzysty, haftowany w gwiazdy i kwiaty. Pasek mu dała purpurowy. Na ramionach upięła bransolety, na włosy włożyła diadem, nogi ubrała w trzewiczki, w których mu było za ciasno.

Uperfumowany, uszminkowany, z nakarminowanymi ustami, legł Herakles na łożu biesiadnym u boku Omfali, odzianej w jego ulubioną skórę lwa. Królowa jedną ręką otoczyła szyję Dzeusowego syna, drugą oparła na maczudze i kazała wnosić potrawy. Służba z trudem powstrzymywała śmiech. Heraklesowi było przykro, że z głębi grotty patrzy

nań i uśmiecha się złośliwie ładniutka Malis, pokojówka, w której objęciach dwa dni temu szukał zapomnienia swej hańby. Uczta przeciągnęła się do późna, po czym wszyscy poszli spać: domownicy na miękkiej trawie, pod gwiazdami ciepłej, letniej nocy, królowa ze swym kochankiem w grocie, każde oddzielnie, tak ubrani, jak leżeli przy uczcie.

Dopiero po północy, gdy wszystko już spało, ruszył Pan ze swojej kryjówki. Umiał stąpać bez szmeru, a że miał zapach kozła, zwierzęta go nie zwietrzyły. Wszedł do groty. Przez chwilę błądził w ciemnościach z wyciągniętymi przed się rękami. Zmacał łożo, na nim lwią skórę. To Herakles. Po cichutku wyminął bohatera i zaszedł z drugiej strony. Tym razem nie omylił się: oto jego pragnienie, cudna królowa Lidii. W jakże miękkich, wonnych szatach spowital Jej sen musi być równie cichy, łagodny, pachnący. Powoli, ostrożnie, śmiało. Byle nie zbudzić. Sama się zbudzi, gdy krzyk stłumi jej na ustach swym pocałunkiem. Lecz skądże tak szorstkie ciało u tak uroczej kobiety? Skądże...

Przestał myśleć. Potężne uderzenie w brzuch zepchnęło go jak suchy pień drzewa w głąb jaskini. Upadając, rznął głową o ścianę i na chwilę stracił przytomność. Gdy się ocknął jaskinia była pełna ludzi, trzymających pochodnie. Wszyscy się śmiali, widząc w jego żalostnej, zmiętej figurze triumfalnie piętrzącą się, nie zaspokojoną gotowość miłosną, śmiało się Herakles, śmiała się królowa lidyjska, śmiali się dworzanie, aż w rękach trzęsły im się pochodnie, ociekające gorącymi, smolnymi łzami.

Po tej przygodzie Pan stał się zły i kapryśny. Nie znosił towarzystwa ludzi, tłukł Satyrów po szczytówatych łbach, Bachantkom płał bezmyślne psoty. Gdy zobaczył spokojnie pasące się trzody, wzniecał wśród nich nagły popłoch, że biegły przed siebie, oślepienie strachem, wpadały w przepaść lub w huczące głębiny morza. W końcu wrócił do swej rodzinnej Arkadii.

Odnaleźli go tam po kilku wiekach poeci bukoliczni i zaprosili do swego grona. Odtąd patronował ich harmonijnym pieśniom, wysłuchiwał żalów miłosnych młodych pasterzy i stawał się coraz bardziej do człowieka podobny. Godził się na wszystko, co z nim robili artyści.

Rzeźbiarze i malarze zmieniali jego postać wedle swego kaprysu. Czasem zostawiali mu rogi, sierść i kopytka, lecz w wyrazie twarzy oddawali jakąś dziwną zadumę. To znów łagodzili jego rysy zwierzęce, odznaczając go tylko małymi rozkami, nieznacznym ogonkiem i trochę strzępiastą brodą. Byli jednak i tacy, którzy przedstawiali go jako dziecko, patrzące niewinnymi oczyma, osadzonymi w miłutkiej, owalnej twarzyczce. Gdyby żyła wówczas mama Penelopa, widok tak zmienionego syna napęłniłby radością jej wzniosłe serce. Ale nie żyła już i, nie mogła widzieć, jak rozmarzone dłuto niektórych rzeźbiarzy wykuwało formy jeszcze bardziej osobliwe: miękkie, delikatne członeczki żeń-



sklego Pana. Było to już w czasach, kiedy Pan nie ukazywał się ludziom i kiedy ludzie nie znali już prawdziwego wyglądu swych bogów.

Historycy opowiadają, że Pan, syn niewiasty śmiertelnej, umarł za panowania cesarza Tyberiusza. Ale wśród wiejskich ogrodów i winnic po dawnemu stały jego opiekuńcze posągi, których dziwny wygląd barbarzyńcom z północy przypominał w snach widywane oblicze diabła.

#### ZWYCIĘSKI POCHÓD DIONIZOSA

Ooóz Dionizosa spał jeszcze. Na obszernej polanie leśnej leżały Bachantki i Menady obok kosmatych Satyrów. Sen porzucił te ciała, znużone orgią nocną, po krzakach, pod drzewami, wśród pni zbutwiałych, na wilgotne liście zeszłoroczne i na kruche uschłe gałązki, które z trzaskiem łamały się za każdym poruszeniem śpiących. Nimfy miały na sobie szczątki poszarpanego odzienia, które je źle chroniło przed rannym chłodem; zziębnięte kobiety garnęły się bezwiednie do Satyrów, pokrytych gęstą sierścią, i nie budząc się odnawiały uściski minionej nocy. Obok nich plotły się pierścienie śpiących węzów, które im służyły jako przepaski. Połamane tyrsy płątały się w zwojach bluszczu i zwiędłych kwiatów. Kałuże rozlanego wina mieszały się z krwią żywcem rozdartych zwierząt; Bachantki jadły wczoraj te surowe kawały mięsa i jeszcze teraz miały dokoła poblądłych ust rdzawe plamy krwi. Sen ich był ciężki. Jeden z Satyrów leżał twarzą zwrócony ku górze. Oczy miał otwarte. Czarne jego oczy, pełne tajemniczych ogní, zdawały się lecieć w jakąś przepaść mroczną. Usta miał rozchylone i spiekłe jakimś tragicznym pragnieniem. Cała jego istota zdawała się drzeć w oczekiwaniu czegoś strasznego, co nadejść miało. Nad polaną unosiła się odurzająca woń ciał kobiecych i kozłi zapach Satyrów.

W pośrodku polany stał purpurowy namiot boga. Dokoła niego spały tygrysy, ciche, spokojne, nieruchome, podobne do wielkich prądkowanych kotów. Nieco dalej chrapał stary Sylen, nakryty skórą niedźwiedzia. Tuż nad swoim panem nachylał głowę jego osioł, który śpiąc wyglądał, jakby był pogrążony w głębokiej zadumie. O drzewa, okalające polanę, oparły się słonie, przywiezione z Indii, i wydawały przez sen cichy, jęczący pomruk. Spały bardzo czujnie i gdy któraś z Bachantek krzyknęła w przerażeniu zmory sennej, natychmiast otwierały swe małe, przenikliwe oczy.

Czyniło się coraz jaśniej. Pierwsze promienie słońca zaczęły wysysać z trawy krople rosy. Dwie Menady, które spały razem wtulone w siebie, ocknęły się i prostując zdrętwiałe członki, ziewały. Patrzyły na siebie chwilę jakby zdumione mętnymi oczyma w sinawych obwódkach. Po czym obie wybuchnęły ostrym śmiechem i wzięwszy się za

råde, wstały, aby pójść wydoić lwice. Dionizos bowiem zwykł był na śniadanie wypijać czarkę lwiego mleka.

Najmłodsza z Bachantek, Nais, nie spała. Wczoraj po raz pierwszy weszła do orszaku boga. Była rodem z tego właśnie lasu, gdzie spod czarnego kamienia tryskało źródło powierzone jej opiece. Życie jej dotychczas było ciche i monotonne. Przy źródle jej poświęconym rósł stary dąb, na którego gałęziach wisiało kilka kubków glinianych, pobożne ofiary biednych wędrowców. Rzadko tylko zachodził tam jakiś pasterz, by napić się wody. Wtedy Nais chłodnymi dłońmi ocierała żar z jego czoła.

Gdy więc wczoraj las nappełnił się radosnym zgiełkiem Dionizosa, opuściła swą wilgotną grotę i przylączyła się do Bachantek. Dostała nowy tyrs -- zielony pręt z zatkniętą u góry szyszką -- i musiała sobie poszukać małego jelonka, którego skóra okrywała teraz jej piersi. Dano jej wina, którego dotąd nie знаła. Jeszcze teraz czuje szum w głowie i pamięta tylko głośny śmiech, z jakim uganiała po lesie. Poczula ból we wnętrznościach i przypomniała sobie tę dziwną, straszną chwilę, kiedy gromada Satyrów przeleciała po jej ciele jak burza, niosąc cierpienie, które jednak wspominała bez przykrości.

Wszystko to stało się tak prędko, tak gwałtownie, że mała Nais nie umiała sobie z niczego zdać sprawy. Słyszała, że wciąż mówiono o jakimś bogu, wznoszono ku jego czci okrzyki, ale zagubiona w tłumie, zdeptana rozszczępionymi kopytami Satyrów, nie widziała jego twarzy ani nie słyszała jego głosu. Pamiętała tylko imię: Dionizos. I powtarzając je teraz, - czuła w sercu dziwną słodycz, tak dalece imię to wydawało jej się niezwykle, święte, boskie. W uszach jej dzwoniły szkarłatne dźwięki pieśni: Mleko strugami płynie i wino płynie w bród, I płynie nektar i miód, I całą w okrąg błoń Syryjska napęlnia woń!

Cóż znaczyć mają te słowa? Kto jest ten, co wodę przemienia w mleko i ze skały dobywa strugi złotego wina? Kto jest ten, za czym zbliżeniem las wypełnia się duszą nieznaną woni? Nie wiedziała.

Cichutko, aby nikogo nie zbudzić, powoli, nieśmiało zaczęła się czołgać w tę stronę, gdzie spał Sylen. Miała do niego najwięcej zaufania. Wczoraj, gdy tylko weszła na polanę, zaraz przyprowadzono ją do niego. Wziął jej podbródek w dwa palce i spojrzął w oczy. Spojrzenie jego było dobre, niebieskie, ojcowskie. I gładząc jej włosy zapytał:

-- Chcesz być z nami?

Skinęła głową, bo mówić jej było trudno. On wtedy kazał jej dać tyrs i nalał jej kubek wina.

Pij, Nais -- powiedział. -- Pijąc to płynne słońce, nauczysz się poznawać boga, który jest dobry i łaskawy.

Pójdzie więc do niego i zapyta. Już była blisko. Dech w sobie zapała i zbierała odwagę. Wreszcie drżącą ręką pociągnęła za skórę niedźwiedzia, którą był nakryty. Przestraszyła się posłyszawszy głuchy pomruk Sylena. „Gniewa się!” -- pomyślała. W tej chwili spod skóry wysunęła się łysa głowa, otoczona wianuszkami siwych włosów. Sylen otworzył oczy.

--A! to ty mała?

Nie gniewał się. Kazał, by mu naląła kubek wina ze stojącego obok gąsiora. Wypił, mlasnął językiem i zupełnie już rozbudzony, odpowiadał wśród niespokojnej ciszy śpiącego obozu na zalęknione pytania Nais:

-- Tam oto, za tymi purpurowymi kotarami namiotu śpi bóg, którego wargi moje wyznawać będą po wiek wieków. Dionizos! niech imię jego będzie pochwalone! Znałem go dzieckiem i ode mnie odbierał pierwszą wieść o świecie, nad którym teraz panuje mocą swej słodkiej potęgi. Jest synem Dzeusa i królowy tebańskiej -- Semele. Biedna królowa usłuchała zdradliwej namowy Hery i zapragnęła widzieć swego boskiego kochanka w całym majestacie błyskawic i piorunów. Dzeus spełnił jej prośbę, ale słabe, śmiertelne oczy Semeli nie mogły znieść widoku boga. Pałac tebański zajął się od ogni niebieskich i spłonął, a Semele umarła.

Nosiła już wtedy w swym łonie Dionizosa. Dzeus, chcąc dziecko ratować, wyjął je z wnętrza matki i ponieważ płód był jeszcze niedojrzały, kazał go sobie wszyć w udo. Po paru miesiącach, odczuwając straszliwe bóle, wydał na świat syna, który podwójnie zrodzony, niósł w sobie zapowiedź wielkich przeznaczeń. Tak jak sam niegdyś musiał się ukrywać przed morderczą żądzą ojca, tak teraz oddał Dionizosa Hermesowi, by go zaniósł daleko od Olimpu i schował przed nienawistnym spojrzeniem Hery.

Hermes ukrył niemowlę w cudownej krainie Nysy, gdzie Nimfy karmiły je swym słodkim jak miód mlekiem. W tym kraju cienia i słońca, w którym panował laur różowy, Dionizos brał życie z liliowych dłoni wesołych Hiad, córek olbrzyma Atlasa, co w trudzie wieczystym na swych zgiętych barkach dźwiga firmament niebieski. Gdy był niegrzeczny, straszły go, że przyjdzie stara Akko i weźmie go do swej torby zaczarowanej. Gdy śmiał się, one brały się za ręce i tańczyły dokoła małego bożka, który w ten sposób uczył się rozróżniać niepokojący zapach kobiet od rześkiej woni lasu. Przestrzegały go jednak, aby miał się na baczności: nocami włóczy się po drogach lubieżna Lamia, która pacholeta na rozkosze porywa i krew im z żył wysysa.

Byłem wtedy przy nim i śmiałem się z tych strachów niewieści. Opowiadałem mu o bogach i stworzeniu świata i uczyłem go ludzi

kochać więcej niż bogów. Umiałem zawsze smutek odpędzić z jego czoła, lecz zaszczepiałem w nim litość, aby mu zapewnić panowanie nad światem. Gdy dorósł, pokazałem mu długą, białą drogę, ginącą w cieniu drzew. Zrozumiał mnie i poszedł.

Zebrało się dokoła niego najdziwniejsze wojsko. Wszystko to, co tu widzisz. Z lasów, z gór, z łąk wilgotnych, z rzek i jezior przybiegły Nimfy o białych kolanach i nazwałem je Bachantkami i Menadami. Za Nimfami przycwałowali Satyrowie, mnogi kosmaty lud półbogów leśnych, nicponiów strasznych, bezwstydnym, ale poczciwym i dobrym. Z Arkadii przybył bóg Pan, który tam oto śpi, nie wypuszczając z ręki swej czarodziejskiej fujarki. To była piechota. Konnicę stanowili Centaurowie, którzy kochają wino. Głowy uwieńczyliśmy bluszczem, a do rąk wzięli pręty z szyszkami, owe tyrsy, które są jedyną naszą bronią.

Rozpuszczono wieści, że tyrs jedynie z pozoru wygląda tak niewinnie, w istocie zaś jest to dzida, której ostrze zakrywają zwoje zieleni. Sama wiesz, że to nieprawda. Dionizos nienawidzi żelaza i rozlew krwi ludzkiej napędza go wstrętem. Nieraz zdarzało się nam w czasie naszego pochodu spotykać dzikie i barbarzyńskie plemiona, które pragnąc zaspokoić własne okrucieństwo, głosiły, że bogowie żądają ofiar z ludzi. Wszędzie tam Dionizos znosił te ohydne obrzędy i łagodził obyczaje kraju.

Cudne to były dni! Jechałem na ośle, albowiem z wiekiem nogi moje stały się ciężkie. Popijając wino, słuchałem cymbałów, fletni, rogów i trąb, na których wygrywało nasze radosne wojsko. Ogarnialiśmy boskim szalem wsie drzemiące w cieniu topoli i miasta wiszące na górach, i miasta kąpiące się w morzu. Skały odpowiadały echem na pijane hałasy Satyrów, a leśne ostępy wtórowały im rykiem spłoszonych zwierząt. Zakładaliśmy obóz wśród żółtych piasków pustyni i na złomiskach gór samotnych, albo z poszumem zawiei rozlewaliśmy się po nieobesztych równiach pól, nie tkniętych sochą oracza.

Wieść o nowym bogu niosły ptaki wśród płatków kwiecistej wiosny. Wychodziły ku niemu pokorne tłumy, czekając objawienia. A on rozwieszał po słonecznych pagórkach bursztynowe naszyjniki winnic i uczył z czarnego łona ziemi wydobywać złocisty cud zboża. Z uwielbieniem dla boga rosła wiara, że to jest jego własna krew -- ten sok jasnych i ciemnych kuleczek -- i że to jest jego własne ciało -- ten chleb, rodzący się z tajemnicy zoranych bruzd.

Obeszliśmy w ten sposób świat cały. Poznaliśmy ludy dziwne | straszne. Widziałem takich, którzy mieli twarz na brzuchu, i takich, co śpiąc, nakrywali się własnymi uszami. Amazonki z wdzięcznością przyjmowały płodne uściski dobrodusznym Satyrów i Androginy, mające prawą pierś męską, a lewą kobiecą, mieszały się z naszym orszakiem, oddając się raz jako niewiasty, to znów goniąc Bachantki w po-

rywie męskiej żądy. W krajach podbitych ustawiliśmy wielkie fallosy na znak zwycięstwa.

Za Dionizosem szedł Eros, zachwycony słonecznym zjawiskiem winnego grona. Strzały jego nikomu z nas nie były straszne, albowiem przywykliśmy sami wychodzić na spotkanie miłości i witać ją z uśmiechem. Wczoraj widziałas, jak łatwo jest nam zaspokoić nasze pragnienia, i nawet Pan w naszym towarzystwie przestał być smutny, mimo że ma duszę elegijnego poety. Co się zaś tyczy Satyrów, to miłość ich zawiera się w tym przemijającym podnieceniu zmysłów, które później we wspomnieniach nie kojarzy się z żadnym określonym obrazem. Dionizos kochał trackiego chłopca, Ampelosa, a kiedy go miała zabrać śmierć, zmienił go w krzew winny. I odtąd, ilekroć pije sok, wyciśnięty z winnych jagód, myśli, że pije duszę ukochanego.

Miłość bogów przynosi ludziom mniej szczęścia, niż to się powszechnie wydaje. Córka ateńskiego chłopca, Ikariosa, Erigona, powiesiła się i Dionizos przeniósł ją między gwiazdy, gdzie błyszczy jako Panna. W chwili, kiedy umierała, nie była już panną, albowiem spożyła kilka winnych jagód z krzewu, w którym ukrył się syn Semeli: połykając słodkie owoce, brała w siebie rozkosz i nasienie boga. Aura, towarzysząca łowów chyzonogiej Artemis, za sprawą Afrodyty uległa Dionizosowi, a urodziwszy bliźnięta, oszalała i ledwo ją oderwano od dzieci, które chciała pożreć. Cudną Beroe, córkę Adonisa, zabrał Dionizosowi Posejdon i nasz pan musiał się pocieszyć miłością Alfesiboi, do której się zbliżył pod postacią tygrysa. Piękna Nikaja póty mu była oporna, póki rzeki, z której piła, nie zmienił w strugę wina...

Sylen spojrział na małą Nais. Z głową, złożoną u jego stóp, spała, ukołysana harmonijnym głosem jego dziwnych opowieści. Jej mała główka nie mogła pomieścić na raz tylu nowych rzeczy. Skoro jednak zamilkł, ocknęła się i z uśmiechem powiedziała, że słyszała wszystko.

Tymczasem obóz się budził. Słońce już stało wysoko. Bachantki wysuwały się cichaczem, aby w głębi lasu przyprowadzić do porządku swe stroje. Satyrowie napełniali polanę hałaśliwym śmiechem. Pan, siedząc pod drzewem, obierał cebulę. Centaurowie gzili się między sobą, wierzgając kopytami. Zgłodniałe tygrysy zlizywały zakrzepłą krew zabitych zwierząt. Sylen wstał spod swojej skóry, wypił jeszcze jeden kubek wina i poszedł do namiotu Dionizosa. Nais przyczołgała się, chcąc zajrzeć poza odwiniętą kotarę, ale nie dostrzegła nic prócz czerwonego mroku, który wypełniał namiot.

Pod wieczór na rozkaz Sylena zaczęto się gotować do drogi. Wytoczono złoty rydwan, do którego zaprzęgnięto sześć par tygrysów, uwiecznionych kwiatami. Małe Satyrzątka powłaziły na karki dzikich bestii. Wszyscy wzięli do rąk tyrsy i ustawili się gęstym półkolem przed namiotem boga. Bachantki trzymały pochodnie. Wreszcie z na

miotu wyszedł Dionizos i stanął na wozie, otoczony czerwonym blaskiem. Małej Nais serce bić przestało. Nie wyobrażała sobie, żeby mogło być coś równie pięknego. Na złotym wozie stał młody bóg, ubrany w długą, purpurową szatę. Na ramiona spadały mu złociste kędzioły, misternie trefione. Twarz miał białą jak mleko, usta czerwone jak rozdarte serce granatu, oczy fiołkowe, ocienione długimi, ciemnymi rzęsami.

Ale nade wszystko niewysłowiony był jego uśmiech, uśmiech -- powitanie, uśmiech-błogosławieństwo. Uśmiech ten tworzył dokoła niego jasność i był jak dzień pogodny. Był on jak to cudne pozdrowienie greckie, które mówi: „Raduj się!” Był jak pieszczota matki i jak pocałunek kochanka...

Dionizos wziął w ręce złociste lejce i tygrysy ruszyły. Wtedy ozwał się jeden olbrzymi okrzyk: „Euoji!” Wzniósł się okrzyk bezbrzeżny, falujący jak chmury o zachodzie słońca, okrzyk tak szeroki, że ogarniał szumiące wierzchołki drzew i schodził w doliny, i wracał ku wyzom, okrzyk pełen westchnień i wołania. Tak Bachantki, Satyrowie, Centaurowie witali swego boga. Zagrały trąby i rogi, uderzono w cymbały, ponad które wybijał się od czasu do czasu piskliwy głos fujarek pastuszych. Rozśpiewana zgraja biegła za złotym wozem. Gnuśnym truchtem niósł osioł starego Sylena.

Zwolna rozeszła się wiadomość, dokąd idą. I wtedy umilkły hałasy, grania, śpiewy. Albowiem miejsce było już blisko. Za chwilę skończył się las i ukazała się okolica dzika, pusta, skalista. Ziemia była czerwona, a skały białe. Ciężkie, smrodliwe wyziewy dobywały się ze zgniłych kałuży, wiecznie stojących w wydrążeniach nierównego gruntu. Dionizos dał znak i wszyscy stanęli w miejscu. Bóg zeszedł z wozu i oddał lejce Panowi. Potem oczy wznosił ku ciemnemu niebu, jakby w nim szukał gwiazd, które zakrywały chmury. Obejrzał się raz jeszcze za siebie i przez mroczną czeluść skalną zeszedł do podziemia.

Trzy noce i trzy dni czekali na swego boga. Nikt nie kładł się spać ani nikt nie brał do ust jadła. Przed zasępionym Sylenem stał suchy kubek. Nikt nie odzywał się ani słowa. Czekali...

Aż na czwarty dzień wstało słońce tak jasne, że skały straciły swą dzikość, a ohydne kałuże odbiły ciche, błękitne niebo. Nie wiadomo, skąd nadleciał skowronek i serca ożywił swą pieśnią. Jakoż niedługo potem z ciemnej czeluści wyszedł na świat Dionizos, jeszcze bardziej promienny niż ongi, a za nim postępowała kobieta w długiej, białej zasłonie. Oboje wstąpili na rydwan i gdy kobieta uchyliła zasłony, stary Sylen poznał królową tebańską, Semele.

Szli teraz przez pola argiwskie na północ. Witano ich wszędzie z nie-

opisaną radością. Matki trzymały w ramionach dzieci, aby mogły widzieć dobrotliwego boga. Niektóre kobiety przyłączały się do orszaku i rozpuściwszy włosy, wołały: „Euoji!” jak Bachantki. Chłopi attyccy wyszli na spotkanie Dionizosa z twarzami posmarowanymi moszczem winnym. Satyrowie gonili dziewczęta wiejskie, które śmiejąc się uciekały przed nimi. Lasy napełniły się miłością i pijaną chwałą wina. Na noc zatrzymywał się Dionizos w dworach i zamkach królewskich i niejeden gospodarz witał go tak, jak dobry król Ojneus, który mu przyprowadził własną żonę, Alteę. Gdy pochód dotarł do Teb beockich, Dionizos zatrzymał wóz, aby Semele mogła ucałować ziemię rodzinną i zwęglone ruiny królewskiego pałacu. Po czym przez góry i wąwozy przeszli do Tesalii. Centaurowie rozbiegli się po znajomych polach ojczystych i wrócili w większej niż przedtem gromadzie, prowadząc nowych towarzyszy. W oddali widać było śnieżne szczyty Olimpu.

Wielką drogą, wykładaną spizowymi taflami, drogą wiadomą tylko bogom, jechał Dionizos z matką. Orszak jego pozostał na dole. Nie godziło się do siedziby szczęśliwych bogów wprowadzać tej zgrai zgiełkowej i dzikiej. Pierwsze dostrzegły go Hory i pobiegły uwiadomić Hermesa. Szybkonogi syn Mai zjawił się natychmiast i kazał otworzyć wrota Olimpu. Wtedy Dionizos zsiadł z wozu i podał rękę matce. Weszli do wielkiej sali, gdzie zgromadzeni byli już wszyscy bogowie, a Dzeus obok Hery siedział na wysokim złotym tronie. Dionizos zbliżył się do ojca i odebrał od niego uścisk powitalny. Potem uściskał Herę. Gdy to uczynił, stanął na stopniach tronu i zwracając się do zgromadzenia bogów, rzekł:

-- Oto zwędrowawszy świat cały przychodzę na Olimp, aby wśród was zająć należne mi miejsce. Byłem w podziemiu i z rąk strasznego Hadesa wyrwałem tę, która mi życie dała. W nagrodę za jej uwolnienie przyniosłem władcy cieniów mirt święty. Oto jest matka moja, którą na ziemi nazywano Semele, a którą odtąd w niebie czcić będą pod Imieniem Tyone.

Na te słowa Dzeus skinął głową i Olimp zatrzęsł się w posadach. Dionizos zaś wstąpił na mleczną drogę i idąc aż ku szczytom nieba, zapalił na błękitnym firmamencie cudną jasną gwiazdę -- gwiazdę swojej matki.